

FORUM IDEI

IBRiS

Morawiecki
Kwaśniewski
Bendyk
Dukaj
Hall
Jacyno
Leder
Mączyńska
Mikołajko
Rychard

GRA W KLASY

rozmowy o aspiracjach Polaków



rozmowy

Mateusz Morawiecki	12	Co zrobić, gdy prawie wszyscy Polacy czują się klasą średnią?
Aleksander Kwaśniewski	17	Wyjście z ubóstwa to nie awans do klasy średniej
Edwin Bendyk	22	Czy zdołamy powstrzymać klimatyczną, gospodarczą i społeczną apokalipsę?
Jacek Dukaj	29	Kiedy przestaniemy wierzyć w mit klasy średniej, ludzie pójdą z kamieniami na pałace demokracji
Aleksander Hall	37	Wymagowana klasa średnia? To o nią także walczy dziś Tusk
Małgorzata Jacyno	40	Polacy wypierają, że przestają być klasą średnią. Albo nigdy nią nie byli
Andrzej Leder	48	Chaos i katastrofa – to one stworzyły polską klasę średnią
Elżbieta Mączyńska	55	Wolimy PKB czy jednak jakość życia?
Zbigniew Mikołajko	61	Klasa średnia w Polsce? Istniała w komunizmie, dziś już jej prawie nie ma i nikt o nią nie dba
Andrzej Rychard	68	Po co wyobrażamy sobie klasę średnią? By poczuć się bezpieczniej?

Wydawca: Fundacja Instytut Badań Rynkowych i Społecznych
Aleje Jerozolimskie 96, 00-807 Warszawa
+22 266 00 16, biuro@ibris.pl, www.forum.ibris.pl

Redaktor Prowadzący: Marcin Duma
Redaktorki i Redaktorzy: Estera Flieger, Agata Kołodziej, Joanna Miziołek, Kamil Smogorzewski
Korekta: Grupa Dutkon.pl Ltd
Projekt okładki: Kamil Smogorzewski
Skład i typografia: Justyna Kramarz – Studio Grafpa, www.grafpa.pl
Druk: WD KLAUDIA-DRUK Jarosław Złotowski

W numerze wykorzystano grafiki pochodzące ze strony 123rf.com
W numerze wykorzystano zdjęcia pochodzące z bazy EastNews

sedno

W pierwszym wydaniu Forum Idei IBRiS przedstawiamy zapis wyjątkowej debaty, która toczyła się we wrześniu i październiku w naszym redakcyjnym studio. To 10 obszernych unikalnych rozmów z wybitnymi przedstawicielami nauk społecznych i świata polityki. Wszystkie dotyczą zidentyfikowanych w raporcie IBRiS „Gra w klasy” głębokich i trwałych przemian, które zachodzą właśnie w zakresie autoidentyfikacji klasowej Polaków. A przy tym zmieniają same fundamenty myślenia o polityce, gospodarce i sprawach społecznych. Nasi rozmówcy – prof. Elżbieta Mączyńska, prof. Zbigniew Mikołajko, prof. Małgorzata Jacyno, prof. Andrzej Rychard, prof. Aleksander Hall, prof. Andrzej Leder, Edwin Bendyk, Jacek Dukaj, a także Mateusz Morawiecki i Aleksander Kwaśniewski – dzielą się swymi wnioskami i rekomendacjami dotyczącymi przemian społecznych w Polsce. To inspirująca, ożywcza intelektualnie lektura przede wszystkim dla wąskiego grona odbiorców mających realny, sprawczy wpływ na rzeczywistość.

Rozmowy poprzedza tekst **Marcina Dumy, Prezesa IBRiS**. Rysuje w nim obecną rzeczywistość społeczno-polityczną Polski, stawia mocne hipotezy i analizuje emocje. Co jednak najważniejsze – wsłuchuje się w głos opinii publicznej i eksploduje jej najgłębsze nastroje, lęki i pragnienia.

Mateusz Morawiecki — premier RP interpretuje wnioski z raportu „Gra w klasy” jako dowód na skuteczność polityki transferów socjalnych prowadzonych przez jego rząd.

Aleksander Kwaśniewski — były prezydent RP i zarazem jeden z najważniejszych polityków lewicowo-liberalnej części polskiej sceny zastanawia się nad możliwościami znalezienia przez klasę polityczną odpowiedzi na nowe potrzeby i aspiracje Polaków.

Edwin Bendyk — Prezes Fundacji Batorego i publicysta stara się oszacować, w jakim stopniu polska klasa średnia i polskie elity są w stanie podjąć własną grę z najważniejszymi wyzwaniami współczesności.

Jacek Dukaj — pisarz, jeden z najbardziej cenionych i nagradzanych autorów literatury science fiction twierdzi, że kiedy ludzie zorientują się, że reguły się zmieniały, że żyją wyobrażeniami o świecie, który już nie istnieje, pójdą z kamieniami na pałace demokracji.

Prof. Aleksander Hall — historyk i były polityk recenzuje strategię podjętą przez największe ugrupowania polityczne w celu pozyskiwania wyborców rekrutujących się z klasy średniej.

Prof. Małgorzata Jacyno — Socjolożka kultury opowiada o pertrytoryjnej strukturze klasowej polskiego społeczeństwa i opisuje kulturowy i światopoglądowy dystans dzielący polską klasę średnią od jej odpowiedników w społeczeństwach Zachodu.

Prof. Andrzej Leder — Filozof i psychoterapeuta spogląda na kwestię klasowej autoidentyfikacji Polaków przez pryzmat mechanizmów psychologicznych świadomości zbiorowej.

Prof. Elżbieta Mączyńska — Prezeska Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego zastanawia się nad ekonomicznymi i społecznymi aspiracjami polskiej klasy średniej i stawia tezę, że mają one w coraz większym stopniu związek z poprawą szeroko rozumianej jakości życia, a coraz mniejszy ze wzrostem wskaźników ekonomicznych.

Prof. Zbigniew Mikołajko — Filozof, socjolog i religioznawca przedstawia dość krytyczną ocenę jakości fundamentów kulturowych i kapitału społecznego, na którym opiera się polska klasa średnia.

Prof. Andrzej Rychard — Dyrektor Instytutu Socjologii i Filozofii PAN ze stricte socjologicznej perspektywy wyjaśnia fenomen masowej autoidentyfikacji Polaków z klasą średnią i tłumaczy go potrzebą budowania poczucia społecznego bezpieczeństwa. ■





Listen on
Apple Podcasts



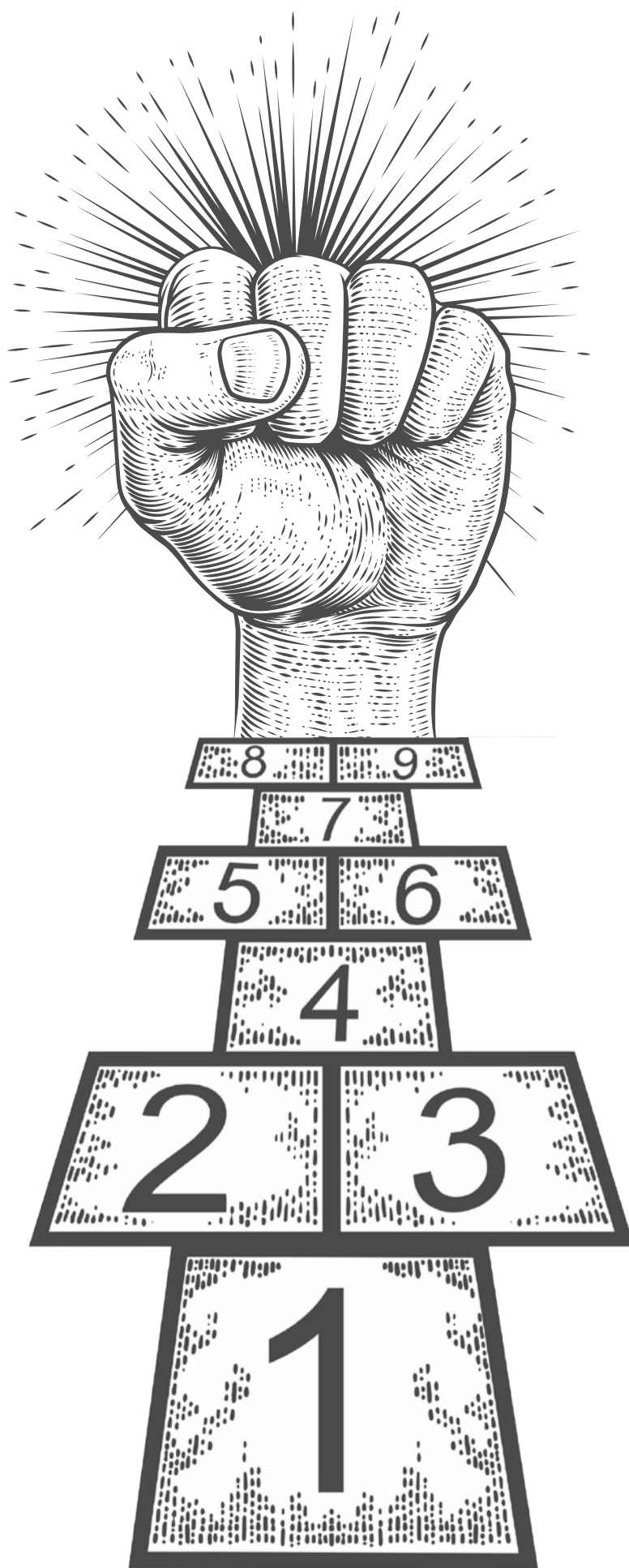
podcast Forum IBRiS



forum • ibris
forum.ibris.pl

horyzont zdarzeń

analizy • dane • eksperci



Marcin Duma

Gra w klasy

Instytut Badań Rynkowych i Społecznych przeprowadził w latach 2020 i 2021 projekt badawczy pt. „Gra w klasy”. Wyniki składających się na niego badań ilościowych i jakościowych zostały po raz pierwszy zaprezentowane podczas XXXI Forum Ekonomicznego w Karpaczu. Największe zainteresowanie mediów i komentatorów wzbudziły wtedy wyniki badań dotyczących klasowej autoidentyfikacji Polaków. Aż 72 proc. badanych przez IBRiS uznało się za przedstawicieli klasy średniej. Stało to w oczywistej sprzeczności z wszystkimi stosowanymi przez socjologów i ekonomistów kryteriami przynależności do klasy średniej. Nawet bowiem, gdyby przyjąć najbardziej liberalne – i zarazem najbardziej dyskusyjne – z tych kryteriów, to i tak nie sposób by było uznać za członków realnej klasy średniej więcej niż połowy Polaków. Z wywiadów prowadzonych w ramach projektu „Gra w klasy” wynika, że Polacy

powszechnie mylą pojęcie klasy średniej z kategorią osób pobierających średnie wynagrodzenie. Zasadniczo więc, zamiast o klasie średniej, moglibyśmy mówić o klasie średniego dochodu.

A jednak Polacy chcą wierzyć, że powodzi im się jeszcze lepiej niż w rzeczywistości. I że odnotowali już wzrost swych dochodów zapewniający realny społeczny awans. Ten paradoks, związany z klasową autoidentyfikacją Polaków, to jednak tylko jeden z obszarów badania IBRiS. Fakt, że Polacy postrzegają siebie jako przedstawicieli klasy średniej, nie zależy bowiem tylko od ich poziomu zamożności, ale także od ich aspiracji. W tym obszarze członkowie realnej, w sensie ekonomicznym i socjologicznym, klasy średniej spotykają się z przedstawicielami tych grup społecznych, które do klasy średniej dopiero aspirują.



Polacy mają trochę więcej, więc czują się znacznie lepiej i chcą znacznie więcej

W ciągu ostatnich kilku lat w życiu znacznej części Polaków dokonała się istotna zmiana ekonomiczna, która miała ogromny wpływ na ich nastroje społeczne. To wynik działania wielu różnych czynników, między innymi:

- stałego wzrostu gospodarczego notowanego w Polsce już od dekad,
- równie stałego spadku bezrobocia, a nawet okresów rynku pracownika na rynku pracy,
- wieloletniego wzrostu wynagrodzeń,
- wprowadzenia minimalnej stawki godzinowej,
- transferów socjalnych.

W publicystyce i obiegowych opiniach przyjęło się myślenie, że notowany w ostatnich latach awans społeczny części Polaków jest bezpośrednim wynikiem działania programu „Rodzina 500 plus”. Zdecydowanie nie jest to jednak cała prawda. Dużo ważniejsze dla tego zjawiska były wymienione wyżej procesy ekonomiczne obserwowane w Polsce przez pierwsze dwie dekady XXI wieku. Jedyne w warstwie stricte politycznej program „Rodzina 500 plus” okazał się tym swoistym stemplem, który udało się PiS-owi przystawić na poprawie materialnej sfery życia Polaków. Na tym zbiorowym sukcesie PiS wypaliło swoje logo – zresztą przy pomocy innych sił politycznych, które narrację PiS-u nieświadomie wzmacniały. Ale przemiany w zakresie klasowej autoidentyfikacji Polaków są przede wszystkim wynikiem tego zbiorowego sukcesu – i jego bezpośredniego skutku – realnego wzrostu poziomu życia w kraju.

Polakom żyje się więc coraz lepiej, co sprawia, że coraz więcej z nich uważa się za przedstawicieli klasy średniej. Zmiana materialnego samopoczucia wpływa zarazem na ich aspiracje, hierarchie wartości i światopoglądy. A w ślad za nimi – na oczekiwania polityczne Polaków.

Z ekonomicznego punktu widzenia nie trzeba było do tego szczególnie wiele. Przez sporą część historii III RP istotny odłam polskiego społeczeństwa pozostawał skoncentrowany na walce o przeżycie od pierwszego do pierwszego. Mówiąc w uproszczeniu – wtedy żyliśmy, żeby pracować, podczas gdy dzisiaj pracujemy, żeby żyć. Czas, który Polacy mają po pracy, nie musi być już pożytkowany na dorabianie. Może być natomiast pożytkowany na konsumowanie mediów, obserwowanie polityki, zajmowanie się rodziną i sobą samym czy chociażby wyjazdy na wakacje.

Ta zmiana sprawiła, że ludzie zaczęli marzyć. Brzmi to nieco górnolotnie, ale zarazem marzenia generują bardzo realne potrzeby. Jeśli o czymś marzymy, to chcielibyśmy to mieć. A jeśli jeszcze tego nie zdobyliśmy, to mamy poczucie braku. Jako społeczeństwo, obecnie przede wszystkim chcielibyśmy się bogacić, ale już nie dla samego bogacenia się. Wzrost dochodów Polacy – przede wszystkim przynależący w sensie ekonomicznym do klasy średniej lub klasy średniej niższej – pragną przeznaczać na rzeczy, na które dotychczas nie było

ich stać. Bardzo uważnie przy tym obserwują, jak zachowują się, jak się ubierają, czym dysponują ludzie z klasy średniej wyższej i wyższej.

Klasy aspirujące przeznaczają więc nadwyżki finansowe w pierwszej kolejności na kupowanie fizycznych atrybutów swojego awansu. Kupują ubrania rozpoznawalnych i powszechnie uważanych za drogie marek, a także inne artefakty statusu, które są widoczne z daleka i dają sygnał pozycjonowania się w wyższym kręgu społecznym. Na tym jednak nie koniec. Chęć potwierdzenia awansu i tego, że nastąpiło wyrwanie się z klasy niższej czy po prostu z biedy, nie ogranicza się wyłącznie w pozyskiwaniu namacalnych atrybutów, ale także w zmianie postaw. Osoby, które pożądamy awansu, chcą się zachowywać i prezentować takie poglądy, jak przedstawiciele grup, do których aspirują.

Jak zmieniają się wyborcy? Aspiracje ekonomiczne i aspiracje światopoglądowe

Profile wyborców Zjednoczonej Prawicy i wyborców opozycji nadal różnią się od siebie. Osoby mniej zamożne, słabiej wykształcone, z mniejszych miejscowości znacznie częściej głosowały na obóz Zjednoczonej Prawicy niż osoby lepiej wykształcone, lepiej zarabiające, z większych ośrodków miejskich. Awans społeczny dotyczył osób o niższym wykształceniu, o niższych zarobkach i z mniejszych miejscowości. Można zatem postawić hipotezę, że ten awans w większej mierze dotyczy wyborców ZP. Czy to znaczy, że oni zmieniają swoje preferencje polityczne? Otóż nie, ale swoje nastawienie ideowe już mogą zmienić.

Nie modyfikując na razie swoich decyzji politycznych, wyborcy Zjednoczonej Prawicy zaczynają mieć nieco inne oczekiwania polityczne niż te, które są im oferowane przez reprezentujących ich polityków. Krótko mówiąc – jeżeli elektorat PiS-u był dotychczas zdecydowanie konserwatywny, a od państwa i klasy politycznej oczekiwał raczej zapewnienia bezpieczeństwa niż wolności, to dzisiaj obserwujemy w nim postępującą przemianę. Wyborcy PiS-u znacznie chętniej mówią o państwie bardziej liberalnym światopoglądowo niż reprezentujący ich politycy. W ramach badania „Gra w klasy” zaobserwowaliśmy trzy takie obszary.

Pierwszym z nich jest kwestia aborcji. Wśród wyborców PiS-u wciąż są oczywiście również osoby o mocno konserwatywnych poglądach dotyczących aborcji, natomiast obecnie obserwujemy tu bardzo wyraźne przesunięcie środka ciężkości. Wyborcy PiS-u są zdecydowanie bardziej skłonni poprzeć liberalizację prawa aborcyjnego i to nawet taką, która czyniłaby je bardziej liberalnym, niż to miało miejsce jeszcze przed wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego.

Obserwujemy też dużo większą akceptację związków partnerskich. Nadal nie ma oczywiście zgody na równość małżeńską, ale sam krok w kierunku związków partnerskich oznacza bardzo istotną przemianę postaw wyborców Zjednoczonej Prawicy.

Trzecia istotna zmiana postaw dotyczy Kościoła katolickiego. Nawet te osoby, które deklarują, że są wierzące i że wiara jest istotną częścią ich konstrukcji psychologicznej, w małym stopniu akceptują działania Kościoła instytucjonalnego. Krytyka tej instytucji, którą słyszymy podczas rozmów z respondentami głosującymi na PiS, ma radykalny charakter, a poziom odrzucenia sposobu organizacji wiary, jaki oferuje Kościół katolicki, jest bardzo wysoki.

Te trzy obszary przemian światopoglądowych zachodzą całkowicie niezależnie od przekonań religijnych respondentów, którzy niejednokrotnie określają się jako głęboko wierzący, tradycyjni katolicy, jednocześnie akceptując związki partnerskie i umiarkowaną liberalizację prawa aborcyjnego, i odnoszą się krytycznie do hierarchów kościelnych i Kościoła instytucjonalnego.

Dzieje się tak w dużej mierze dlatego, że grupy społeczne, do których wyborcy PiS-u aspirują, wychodzą na ulice i protestują przeciwko zaostrzeniu przepisów aborcyjnych, krytykują Kościół instytucjonalny i akceptują związki partnerskie. Częściowe przejście ich poglądów i postaw społecznych jest więc poszukiwaniem kolejnego atrybutu awansu.

Kto jest gorszy, czyli 500 plus i „pasożyty”

Obiegowa krytyka programu „Rodzina 500 plus” oparta na publicystycznych kliszach mediów liberalnego centrum bardzo skutecznie utrzymała w oczach Polaków – także tych z kręgu wyborców Prawa i Sprawiedliwości – społeczny artefakt „patologii”. A zatem wyimaginowanej, licznej grupy społecznej, która żyje z finansowanego „z naszych podatków” obfitego „socjału”, najchętniej pożytkując wypłacane zasiłki w sklepach monopolowych. Rzecz jasna, takie osoby w obrębie społeczeństwa jak najbardziej istnieją, jest ich jednak na tyle niewiele, że nie można mówić o jakiegokolwiek klasie społecznej, na którą miałyby się składać. Niemniej, w oczach Polaków z aspirującej klasy niższej i średniej, artefakt „patologii” odgrywa bardzo istotną rolę. Pozwala mianowicie pozycjonować się zdecydowanie „wyżej” względem „patologii”. Widząc obraz czarnego luda „patologii”, przedstawiciele aspirującej klasy niższej i klasy średniej mogą mieć poczucie bycia w środku społecznej hierarchii, „bo tam na dole jest takie ludzkie piekło”.

To tym bardziej istotne, że obecnie awans do klasy wyższej jest w powszechnej świadomości właściwie niemożliwy. Realizacja opowieści „od pacybuta do milionera”, a nawet „od managera do milionera” jest dzisiaj niemal nieosiągalna. Oznacza to, że klasa średnia dobrze rozumie, że jakiś wielki awans już jej nie czeka. Zarazem jednak przedstawiciele starej klasy średniej mają pełną świadomość, że pod względem materialnym doganiają ich ludzie z klasy niższej. Mamy tu zatem coś w rodzaju „sumy wszystkich strachów” klasy średniej. Jej przedstawiciele są coraz bardziej świadomi, że stopią się z klasą niższą i ostatecznie dojdzie do sytuacji, w której w Polsce nie będziemy już mieli podziału na klasę niższą, średnią i wyższą. Zastąpi ją o wiele prostszy i bardziej jednoznaczny

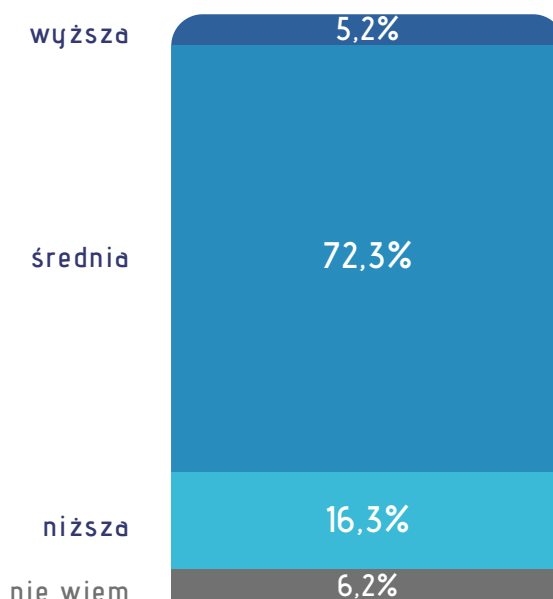
podział na bogatych i biednych. Nieważne zaś, że ci biedni wciąż będą dysponowali jakimś większym rozporządzalnym budżetem. Ważne, że poniżej w hierarchii społecznej już nikt nie będzie.

To bardzo stresuje zarówno osoby z klasy średniej, jak i tych wciąż do niej aspirujących Polaków. Właśnie z tego powodu potrzebny jest Polakom artefakt „patologii”, ta urojona klasa społeczna „pasożytów”, która powstała w głowach przedstawicieli klasy średniej i grup do niej aspirujących. A następnie przybrała kształt ogromnej masy ludzi, którzy nie pracują, żyją z „socjału” i gdy tylko dostaną 500 plus, od razu biegną do monopolowego. Artefakt „patologii” zawsze pozwala wskazać to niższe piętro drabiny społecznej, ten poziom ziemi, nad którym dopiero wyrastają wyższe, pracujące klasy społeczne.

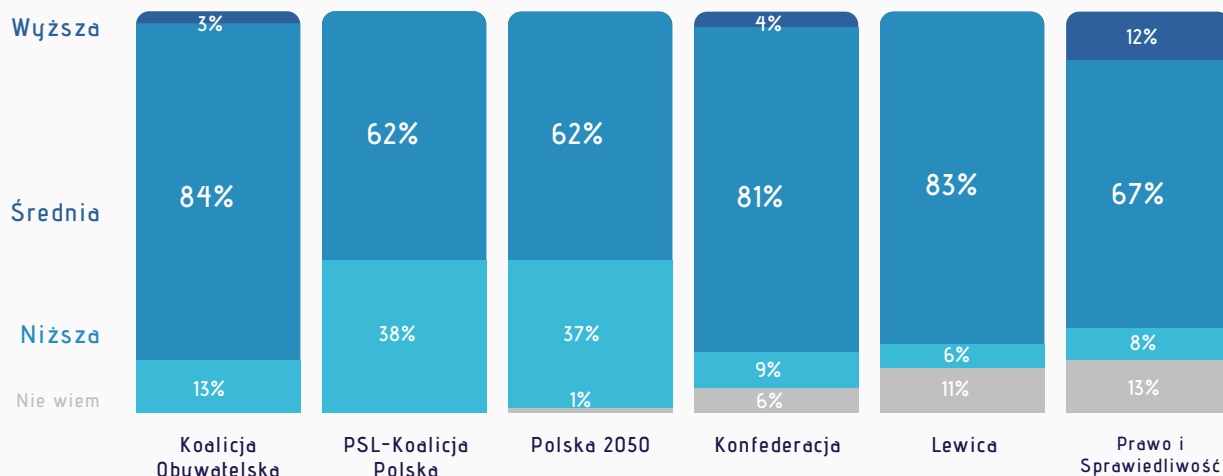
Konflikt klasy średniej i grup aspirujących

Czy polska klasa średnia – ta realna w sensie socjologicznym i ekonomicznym – jest mentalnie gotowa na przyjęcie nowych, aspirujących osób? Zdecydowanie nie. Wynika to z faktu, że jej przedstawiciele mają dominujące poczucie, że uzyskali swój status przez ciężką pracę własnych rąk. Tymczasem, aspirujący do niej za sprawą redystrybucji zorganizowanej przez państwo, mogą sobie pozwolić na to samo, co osoby, które dorobiły się swoją pracą. Co gorsza, według opinii członków klasy średniej, pieniądze, które „rozdaje” państwo, pochodzą wprost z podatków... klasy średniej. W ten sposób utrwała się, że państwo „karmi biedotę”. Że klasa aspirująca wyhodowana jest „na krwi” klasy średniej. A mitem założycielskim

W Polsce funkcjonują różne klasy społeczne. Jeden z takich podziałów zakłada istnienie klasy niższej, średniej i wyższej. Do której klasy by się Pan/Pani zaliczył/a?



Subiektywna ocena przynależności do klas społecznych w podziale na elektoraty ugrupowań



N = 1100, badanie IBRiS

polskiej klasy średniej jest niezwykle silnie ugruntowane przekonanie jej przedstawicieli, że do wszystkiego, co mają, doszli całkiem sami.

Paradoks polega jednak na tym, że osoby z klas aspirujących do klasy średniej mają niemal identyczne przekonanie, że ich awans wynika z ich ciężkiej pracy. I oczywiście mają rację. Ich wzrost statusu nie zależy wyłącznie od świadczeń socjalnych, ale jest przede wszystkim związany ze zmianami na rynku pracy, ze wzrostami wynagrodzeń. Ci dotąd najbiedniejsi Polacy właśnie dzięki pracy swoich rąk, a nie dzięki 500 plus, awansują do klas aspirujących.

Co zmieniła pandemia?

Pandemia naruszyła dogmat, że wzrost gospodarczy będzie trwał w nieskończoność. Poczucie bezpieczeństwa zostało zachwiane we wszystkich klasach, choć klasa wyższa odczuła to w najmniejszym stopniu. W innym obszarze zaszła natomiast zasadnicza zmiana. Otóż klasa średnia, która dotychczas chciała minimalnej ingerencji państwa w życie gospodarcze, nagle zaczęła głośno mówić, że przydałoby się coś w rodzaju „500 plus dla przedsiębiorczych” i przyklaskiwać kolejnym wprowadzanym przez rząd „tarczom antykrzysowym”. Okazało się, że w trakcie realnego kryzysu jest po prostu ciężko. Oznacza to, że dzisiaj wolnościowy elektorat opozycji poszukuje oferty bezpieczniejszej socjalnie.

Z jednej strony zatem widzimy tendencje do liberalizowania się elektoratu Zjednoczonej Prawicy, a z drugiej – po stronie wyborców opozycji – rosnącą tendencję do zgody na ingerencję państwa w gospodarkę.

Największe polskie partie obsługują te nowe potrzeby polityczne swoich wyborców tylko w bardzo niewielkim stopniu. PiS, żeby spróbować dogonić swoich wyborców, musiałoby dziś grać w znacznie większym stopniu na ich aspiracjach. Platforma natomiast wciąż gra na nucie bliższej programowi partii Nowoczesna, niż na postulatach zapewnienia bezpieczeństwa swoim wyborcom. Z kolei Lewicy psuje szyki fakt, że konglomerat progresywnego nastawienia w sprawach kulturowych – w połączeniu z ofertą bezpieczną, ale mało wolnościową, jeśli chodzi o kwestie gospodarcze – nie jest wśród Polaków zbyt popularny. Jeśli weźmiemy pod uwagę specyfikę polskiego rynku politycznego, jest to wciąż podejście mniej lub bardziej niszowe.

Polska klasa polityczna w niewielkim tylko stopniu nadąża obecnie za zmianami społecznymi, którym podlegają ich wyborcy. Można więc stawiać tezę, że gdyby przed wyborami w 2023 roku pojawił się ruch polityczny, który przekonująco obsługiwałby potrzeby klasy średniej i grup aspirujących do niej, to miałby on szansę powodzenia. Oczywiście przy założeniu, że obecne siły polityczne nie zorientowałyby się, że należy podążyć tą właśnie drogą i nie wykorzystałyby swoich możliwości narracyjnych do ponownego zagarnięcia dyskursu. ■



Mateusz Morawiecki

Co zrobić, gdy prawie wszyscy Polacy
czują się klasą średnią?



Joanna Miziołek: Chciałam zacząć rozmowę o klasie średniej. Jaki Pan Premier ma pomysł na klasę średnią, pytam, ponieważ według analizy Fundacji IBRIS, zaprezentowanej właśnie na Forum Ekonomicznym w Karpaczu, ponad 70 procent Polaków uważa się za klasę średnią.

Mateusz Morawiecki: Tak, to bardzo ciekawe badania, które odzwierciedlają ważne tendencje ostatnich lat, kiedy została odblokowana droga do lepszego i stabilniejszego życia. Pomimo wielu zaszłości historycznych, które wpływają na kształt naszego życia społecznego, zarówno w „twardym” sensie wskaźników ekonomicznych, jak i w sensie postrzegania naszego miejsca w świecie, wiele się zmienia. Coraz bardziej doceniane jest znaczenie państwa, rośnie przekonanie, że Polska jest dobrym miejscem do realizacji swoich marzeń, coraz więcej osób pozytywnie ocenia swoją sytuację

materialną. I właśnie w tym momencie Polski Ład otwiera drogę do wzmocnienia klasy średniej.

No tak, ale ludzie o relatywnie niskich dochodach, mentalnie podobno klasyfikują się w klasie średniej, właśnie przez te transfery socjalne. I oni, wobec tego krzyku, który się pojawił, że klasa średnia straci na Polskim Ładzie...

Zanim odpowiem na to pytanie, chcę wrócić do poprzedniej myśli. Polska klasa średnia wygląda inaczej niż na Zachodzie, gdzie rozwijała się przez dekady w sposób miarowy. Polskie społeczeństwo po dramacie wojny, „zamrożeniu” w czasach komunizmu zaczęło się intensywnie zmieniać po roku 1989, ale wbrew temu, co twierdzą do dzisiaj ideolodzy neoliberalizmu, przemiany gospodarcze lat 90. nie były otwarciem równych szans dla wszystkich.



Obecnie w Polsce mamy niewielką grupę bardzo dobrze zarabiających, a bardzo dużą grupę osób, które się dorabiają. Nam zależy na tym, aby wszyscy Polacy mogli godnie zarabiać. Godnie, to znaczy tak, żeby starczyło nie tylko „od pierwszego do pierwszego”, ale żeby w domowym budżecie pojawiły się wolne środki na rozrywkę czy inwestowanie w siebie, w przyszłość swoich dzieci. Jeśli ktoś próbuje twierdzić, że klasa średnia straci na Polskim Ładzie, to zwyczajnie nie wie, co mówi. Mamy to dokładnie policzone. Polski Ład pozostaje korzystny lub neutralny dla 90 procent społeczeństwa. Górne 10 procent najlepiej zarabiających dołoży nieco więcej ze względu na zmianę sposobu naliczania składki zdrowotnej – do tej pory system naliczania składki zdrowotnej był europejską anomalią, przywilejem dla osób najzamożniejszych. Nie chodzi jednak o to, żeby zabrać bogatym, a rozdać biednym, to nie jest romantyczna opowieść o Robin Hoodzie.



**Chodzi o to, by skonstruować
sprawiedliwe rozwiązania
systemowe, które mocniej
wspierają mniej zamożnych, aby
oni też mogli dzięki swojej pracy
i zaradności wspinać się wyżej po
drabinie społecznej.**

Chodzi o to, by skonstruować sprawiedliwe rozwiązania systemowe, które mocniej wspierają mniej zamożnych, aby oni też mogli dzięki swojej pracy i zaradności wspinać się wyżej po drabinie społecznej. W tym miejscu warto zadać pytanie, czy progresywny system podatkowy służy tworzeniu klasy średniej, czy regresywny, taki, w którym osoba zarabiająca więcej procentowo płaci mniej podatku?

To ja miałam zadawać pytania, a Pan Premier to zmienił... Ale stworzyliście elektorat aspiracyjny, po prostu.

Nie lubię tego określenia – „elektorat aspiracyjny”. Jestem przekonany, że polskie aspiracje od lat były wysokie i jednocześnie tłamszone błędną polityką. Historia dobrze zna zjawisko wzrostu gospodarczego, który nie przekłada się na wzrost poziomu życia obywateli. III RP jest niestety przykładem takiego „niezdrowego” wzrostu. A im dłużej on trwał, tym bardziej Polacy nie wierzyli, że realna zmiana i awans społeczny są w zasięgu ich rąk. A to z kolei sprawiło, że oczekiwania wobec przyszłości były ograniczane. Skoro praca na przysłówowym już „zmywaku w Anglii” była dla wielu Polaków bardziej opłacalna niż praca w Polsce, to nie ma się co dziwić, że wielu z nich przestało lokować nadzieje na rozwój osobisty w ojczyźnie. To dziś uległo zmianie, a realny wzrost zasobności portfeli Polaków przekłada się również na poczucie osobistej dumy, a także wiarę w to, że możliwe jest realizowanie swoich marzeń właśnie tutaj. Potwierdzają to również statystki powracających do kraju rodaków. Zależy nam na tym, żeby Polacy mogli realizować swojej ambicje tam, gdzie mieszkają. A coraz większe aspiracje są zjawiskiem pozytywnym, które powinno być przez państwo wspierane, a nie hamowane.

Tak, ale te propozycje podatkowe, które państwo zgłosiliście... przynajmniej w świetle tych badań wynika, że obciążenia podatkowe dla lepiej zarabiających postrzegane są przez tę aspirującą właśnie do klasy średniej klasę niższą jako godzące w tych, jakimi oni sami chcieliby się stać.

Zwróciłbym uwagę na pewien paradoks. Kiedy prezydent Barack Obama wdrażał największą w Stanach Zjednoczonych reformę ochrony zdrowia, większość Amerykanów wyrażała się o niej sceptycznie. Ale kiedy tych samych ludzi pytano o konkretne elementy Obamacare, większość Amerykanów było „za”. Z jednej strony mieliśmy więc opór wobec pewnego wyobrażenia, czym Obamacare jest, z drugiej zaś akceptację faktycznych rozwiązań, jakie tam się znalazły. Sądzę, że podobnie jest z Polskim Ładem.

Czyli po efektach poznamy...

Polacy już na początku przyszłego roku zobaczą w swoich portfelach więcej pieniędzy, i to będzie namacalny efekt Polskiego Ładu. Ale wróćmy do poprzedniego pytania i zastanówmy się, kim są ci, którzy przeciwko niemu najgłośniej protestują. W naszym kraju zaledwie kilka procent osób zarabia powyżej 12–13 tysięcy złotych miesięcznie. Dla przeważającej większości społeczeństwa są to kwoty nieosiągalne. Polski Ład sprawi, że najbogatsi Polacy dołożą proporcjonalnie

więcej do finansowania ochrony zdrowia. To bardzo poważny krok w kierunku sprawiedliwości społecznej – naprawa zaniechań, które dziedziczymy po III RP. I to właśnie najbogatsza warstwa społeczna przy wsparciu mediów broni swoich interesów, przekonując zwykłych obywateli, że stracą na Polskim Ładzie, co jest oczywistą nieprawdą. Ja to jestem w stanie zrozumieć, ale jednocześnie nie mogę się na to zgodzić.

Ale narracyjnie trochę się to nie udało. Widać, że ten Polski Ład nie przebił się w świadomości Polaków...

Zmiana zawsze budzi niepokój i to też jest zrozumiałe. Nawet najbardziej pozytywne reformy potrzebują cierpliwości. Już wkrótce wiele projektów zyska swoją legislacyjną dojrzałość, a owoce tych zmian Polacy zaczną zbierać w bardzo krótkim czasie. Od Nowego Roku Polacy nie będą płacili podatku do 30 tysięcy złotych, a ich pensje wzrosną.

A czy to dzisiaj nie mija termin tych „stu ustaw”, które miały być w Polskim Ładzie?

Krok po kroku. Polski Ład to program rozpisany co najmniej na dekadę, a my obiecaliśmy na początek realizację 10 programów priorytetowych. I tego terminu dotrzemy.

Marcin Duma uważa, że Polska jest dzisiaj krajem klasy średniej. I to zaspokojenie potrzeb właśnie tej grupy będzie decydowało o sukcesie wyborczym. Czyli jeżeli zaspokoicie potrzeby tej grupy, to wygracie wybory?

To dobra prognoza na 2023 rok, ale najważniejsze jest to, że my chcemy, żeby wygrali wszyscy Polacy. Obecnie Prawo i Sprawiedliwość to jedyna formacja z planem na rozwój kraju po pandemii. I ten kontekst jest najważniejszy.

Pandemia wywołała też takie poczucie spowolnienia, a nawet zahamowania, prawda, takiego procesu bogacenia się ludzi...

Ekonomiczne maszyny niemal wszystkich państw na świecie wyhamowały, ale różne były sposoby reagowania na pandemię, a w związku z tym różne tempo ponownego rozpędzania gospodarek. My postawiliśmy na ochronę miejsc pracy oraz utrzymanie wysokiej gotowości rodzimego biznesu do ponownego startu, dlatego jako jedni z pierwszych w Europie powróciliśmy do poziomu zatrudnienia sprzed pandemii.



Pandemia sprawiła, że coraz więcej pracowników poszukuje równowagi pomiędzy pracą a życiem osobistym, rodzinnym.

Tak, ale mimo to Polacy mają poczucie utraty bezpieczeństwa, na które odpowiedzią też miał być Polski Ład.

Pandemia podkopała poczucie bezpieczeństwa. Ale jak wspominałem, robiliśmy wszystko, żeby ochronić polskich pracowników przed jej skutkami. Warto też zwrócić uwagę na to, o czym mówią niektórzy badacze. Pandemia sprawiła, że coraz więcej pracowników poszukuje równowagi pomiędzy pracą a życiem osobistym, rodzinnym. Te postawy mogą współgrać ze zmianą paradygmatu, na której nam zależy, czyli zwiększenia produktywności pracy. Mam nadzieję, że uda nam się jako społeczeństwu odzyskać stabilność, tym bardziej, że większość osób jest zaszczepiona.

No tak, ale to tylko blisko 50 procent jest zaszczepiona, prawda?

Osiągnęliśmy poziom 50 procent zaszczepionych, ale cały czas prowadzimy kampanię i informujemy o tym, że szczepienia to jedyna droga do całkowitego uwolnienia się od pandemii. Bardzo dobra organizacja programu szczepień pozwoliła nam na szybkie zaszczepienie bardzo wielu Polaków, w niektórych grupach, na przykład wśród osób powyżej 60. roku życia, osiągnęliśmy bardzo wysoki poziom wyszczepienia. Infrastruktura szczepień przygotowana jest perfekcyjnie. Natomiast

problemem pozostaje przekonanie części społeczeństwa do przyjęcia szczepionki. Robimy, co w naszej mocy, ale też nie chcemy uciekać się do środków przymusu. To droga donikąd.

Panie Premierze, naprawdę boi się Pan uderzenia tej czwartej fali? Że znowu będą obostrzenia, że znowu biznesy będą zamknięte? Będzie jakaś tarcza?

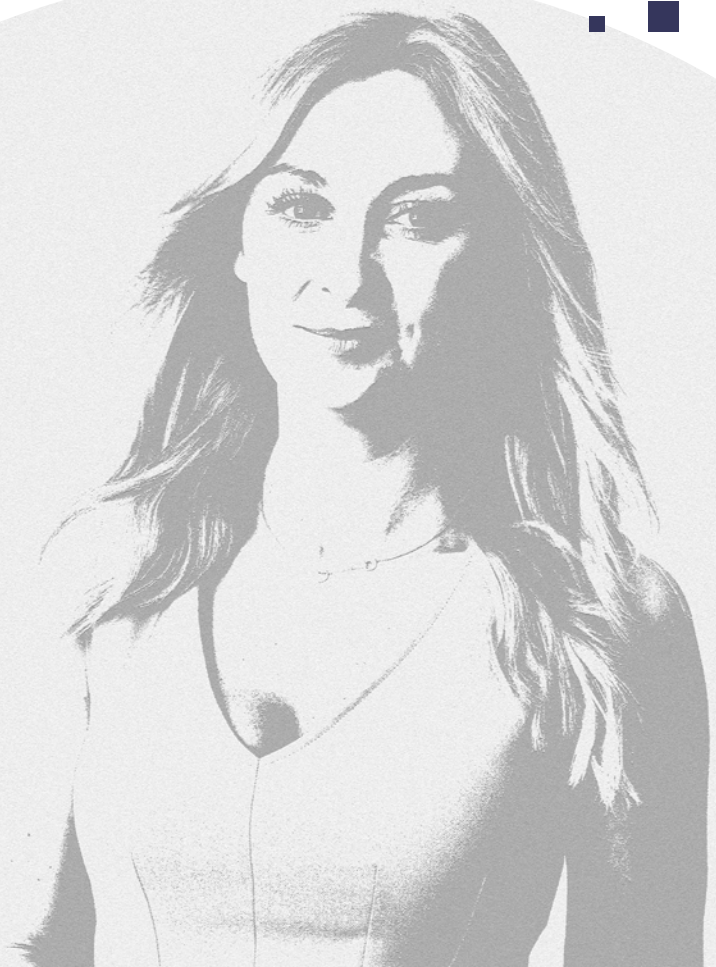
Pandemia nauczyła nas pokory, dlatego jestem wstrzeżliwy w przewidywaniu przyszłych wydarzeń. Natomiast państwo jest zobowiązane chronić przedsiębiorców przed negatywnymi skutkami niezależnych od nas wydarzeń. Robimy to teraz w pasie przygranicznym, robiliśmy to od samego początku pandemii. Dzięki tarczom, których wartość przekroczyła 230 miliardów złotych, uratowaliśmy ponad 6 milionów miejsc pracy.

Na sam koniec zapytam w takim razie o Polski Ład i o jego finansowanie. No bo Unia Europejska zaczyna nam coraz bardziej grozić w związku z praworządnością.

Powinniśmy oddzielić od siebie dwie sprawy. Fundusz Odbudowy to projekt dla całej UE. Natomiast Polski Ład jest autorskim programem Zjednoczonej Prawicy. Jego cel polega na wyznaczeniu kierunku rozwoju Polski w perspektywie kolejnych dekad. ■

Rozmawiała:

Joanna Miziołek





Aleksander Kwaśniewski

Wyjście z ubóstwa to nie awans
do klasy średniej



Joanna Miziołek: Z raportu IBRIS „Gra w klasy” wynika, że zdecydowana większość Polaków, bo aż 72 procent, niezależnie od ich realnej, indywidualnej sytuacji ekonomicznej, identyfikuje się obecnie z klasą średnią. I właśnie w tym kontekście definiuje swoje interesy ekonomiczne, polityczne i społeczne. To z kolei wpływa na całkiem znaczące przemiany ich postaw światopoglądowych. Dzieje się tak nawet w wypadku osób, których dochody i status majątkowy nie pozwalają na zaliczenie ich do klasy średniej i to nawet według najluźniejszych możliwych kryteriów. Jak Pan interpretuje te wyniki badań z perspektywy polityka, który współtworzył najnowszą historię Polski? Dlaczego Polacy czują się klasą średnią, choć wcale niekoniecznie naprawdę nią są?

Aleksander Kwaśniewski: Świadczy to psychologicznie o wręcz wyjątkowo dobrym samopoczuciu. Wydaje mi się,

że nawet naprawdę bardzo zamożne, ustabilizowane od lat kraje nie osiągają takiego wskaźnika. W przypadku Polaków jest to więc kwestia samopoczucia i emocji.

I aspiracji, bo Polacy bardzo nie chcą czuć się członkami klasy niższej. Czy może mieć to związek z transferami socjalnymi prowadzonymi przez PiS – na czele z programem „Rodzina 500 plus”?

Transfery socjalne z pewnością w dużej mierze spowodowały, że osoby, które dotąd doświadczały biedy lub miały jej poczucie, mogły się jednak poczuć lepiej. Zakładam, że rodzina z niskimi zarobkami, która ma piątkę dzieci, otrzymując 2,5 tysiąca złotych miesięcznie z programu „Rodzina 500 plus”, co może stanowić jedną trzecią dochodów całej rodziny i nawet więcej, z pewnością zyskuje. Ale to ciągle nie jest awans do klasy średniej. To jest

wyjście ze strefy ubóstwa. Myślę więc, że to gremialne poczucie Polaków, że są klasą średnią, wynika przede wszystkim z sukcesu gospodarczego, który odnosimy od trzech dekad. Proszę pamiętać, że Polska od 1993 do 2020 roku, czyli do epidemii covid, była jednym z niezwykle nielicznych krajów świata, w których wzrost gospodarczy PKB nieprzerwanie zwiększał się z kwartału na kwartał. Oczywiście czasami szybciej, czasami wolniej, w czasie kryzysu finansowego dość wolno, ale mimo wszystko był to bardzo odczuwalny postęp. Jeżeli to skumulujemy i dostrzeżemy, że przez 27 lat w Polsce zwiększał się PKB, no to oczywiście zrozumiemy, że musiało się też zwiększać poczucie zamożności i lepszego życia. Sądzę, że ta psychologiczna samoocena 70 procent Polaków, którzy deklarują, że czują się klasą średnią, jest w gruncie rzeczy taką dobrą recenzją tych 30 lat Polski rozwijającej się. Nie Polski „w ruinie” – jak mówił PiS – tylko właśnie rozwijającej się.

Premier Mateusz Morawiecki mówił w naszym podcaście, że on się bardzo cieszy, że tak dużo ludzi uważa się za klasę średnią. I że uważa, że to jest jego zasługa oraz Prawa i Sprawiedliwości. Za to Pan mówi o dorobku 30 lat.

Ja premiera Morawieckiego wcale z tego nie wykluczam. Jestem za to, w odróżnieniu od premiera Morawieckiego, zwolennikiem ciągłości. Uważam, że kraje rozwijają się dobrze wtedy, kiedy jest jak najwięcej elementów ciągłości, to znaczy, korzystamy z tego, co dobre, odrzucamy to, co nam się nie udało, i idziemy dalej. Zresztą przykłady wielu państw na świecie pokazują, że można taką ciągłość uzyskać w perspektywie 50, 100 i 200 lat – i to gwarantuje sukces. W Polsce ciągłość istniała do 2015 roku, kiedy została odrzucona przez PiS. I kiedy ten sam premier Morawiecki mówił, że Polska jest „w ruinie”, a z drugiej strony otwierał program „Rodzina 500 plus”, co świadczyło o tym, że tę rzekomo „zrujnowaną” Polskę stać było na takie wydatki. Myślę, że kiedy politycy PiS rozmawiają między sobą albo przynajmniej patrzą w lustro, wstydzą się tego hasła „Polska w ruinie”, przynajmniej mam taką nadzieję. Ale uwaga – bo ja też bardzo doceniam to, co zrobił PiS. Programy socjalne, które pozwoliły wyjść ludziom ze strefy ubóstwa uważam za słuszną politykę. Przy czym uważam tylko, że było przesadą, by w ramach programu „500 plus” dawać takie same pieniądze ludziom, którym się świetnie powodzi, którzy w Polsce już dawno są klasą średnią albo są po prostu ludźmi bardzo zamożnymi. No, ale podjęto takie decyzje i już – nie dzielmy tu włosa na czworo. Im więcej ciągłości, im więcej pamięci instytucjonalnej w państwie, tym lepiej dla państwa. Żałuję, że PiS tego nie rozumie.

To trochę paradoks, ale klasa średnia – i ta prawdziwa i ta wymaginowana – czuje się dziś poszkodowana za sprawą propozycji z programu Polski Ład. Z badań jakościowych IBRiS wynika, że większość Polaków, wsłuchując się w debatę na temat Polskiego Ładu, uznało, że jeżeli ten program wejdzie w życie, to wtedy oni stracą. To może Prawo i Sprawiedliwość samo sobie zrobiło problem? Bo z jednej strony wzmocniło aspiracje ludzi do klasy średniej, a z drugiej strony teraz za to płaci?

Zapewne. Jeżeli widać taki efekt w badaniach, to coś tu jest na rzeczy. Premier i jego ludzie powinni się zastanowić, gdzie

przedobrzyli. Ja pamiętam pierwsze wypowiedzi o Nowym Ładzie czy o Polskim Ładzie, kiedy mówiono, że 19 milionów Polaków ma na tym skorzystać. Okazuje się, że te 19 milionów nie ma takiego poczucia.

Nie ma poczucia, że skorzysta, co nie znaczy, że nie skorzysta...

Nie skorzysta, bo takich cudów nie ma. Nie mówi się o tym, komu się zabierze...

...najbogatszym.

No ale w Polsce tylu najbogatszych nie ma – chyba że chce się ich ograbić do końca, to znaczy doprowadzić do ich bankructwa. Nie sądzą, żeby taki był zamiar rządu, bo jednak ktoś musi te pieniądze wpłacać do budżetu. Ci, którzy zarabiają, płacąc wysokie podatki, i ci, którzy produkują, płacąc podatki, zatrudniając i od tego płacąc wysokie podatki, i tak dalej. Jest prosta zasada – trzeba troszkę troszczyć się o kurę, która znosi jaja. A już szczególnie, gdy jaja są srebrne albo złote. Więc ta troska byłaby wymagana. Ludzie obawiają się zwiększenia obciążeń podatkowych – a jeszcze rząd jest tak miły, że nie mówi o zwiększaniu podatków, tylko o daninach, tak jakby to było co innego.

Ale czy rzeczywiście będzie tak, że to ci najbogatsi będą więcej płacić? Czy na przykład taka fryzjerka, która ma własny zakład?

Ależ oczywiście i tego się właśnie obawiają również drobni przedsiębiorcy – że obciążenie kolejnymi daninami spowoduje, że koszty będą rosły. Oni zaś będą starali się przełożyć te koszty po części na klientów, czyli zapłaci Pani za usługę fryzjerską nie 50, a 60 złotych...

W przypadku kobiet to jest jednak drożej, Panie Prezydencie.

Wiem. A będzie jeszcze drożej, co jest widoczne już teraz, bo i sam covid spowodował, że ceny bez żadnych wymiernych powodów wzrosły, jeżeli już mówimy akurat o fryzjerach. I stąd ten głos przedsiębiorców. Cudów nie ma, jeżeli ma być komuś lepiej, to znaczy, że będziemy mieli mniej podatków z tego powodu, że będzie wyższa kwota wolna od opodatkowania i że zwolnimy emerytów od płacenia nawet niewielkich podatków, to gdzieś musi nastąpić kompensata i ktoś na tym straci. Z pewnością zamożniejsi, zapewne przedsiębiorcy i nie wykluczam, że część tej szeroko rozumianej klasy średniej również.

Mateusz Morawiecki mówił nam w kontekście Polskiego Ładu o amerykańskim programie Obamacare, który został na początku bardzo źle przyjęty, ale teraz bywa chwalony nawet przez Republikanów. Polski Ład można porównywać z Obamacare?

Przecież Obamacare zostało w znacznym stopniu rozmontowane przez Trumpa. Wymagałoby dużego znawstwa, żeby określić, co w tej chwili w tym systemie opieki zdrowotnej

w Ameryce naprawdę zostało, a czego już nie ma. Z polityką tak jest, że realizowany program poznajemy po efektach – i ludzie do niektórych reform mogą się przekonać, do niektórych nie. Przestrzegalbym premiera tylko przed jednym. On od lat szeroką ręką rozdaje pieniądze i stara się być tym dobrym premierem, który na wszystko ma: na chłopów ma i na wieś ma, i na lekarzy ma, choć na lekarzy ma mniej akurat, ale nawet dla nauczycieli coś ma – i tak dalej. Trzeba jednak pamiętać, że wdzięczność jest w polityce towarem o najkrótszym okresie ważności. Ona naprawdę zanika bardzo szybko – a ludzie błyskawicznie przyzwyczajają się do tego, co zostało im dane – i później już o tym nie pamiętają. A zatem wiara w to, że Polski Ład będzie tym wehikułem, który da władzę PiS-owi w kolejnych wyborach, a może później jeszcze w następnych, może się nie sprawdzić. Bo ja widzę też zagrożenia, zagrożenia poza Ładem. Te zagrożenia to rosnąca inflacja i – moim zdaniem – kryzys energetyczny, do którego się zbliżamy w świecie. Dodajmy dramatycznie rosnące ceny gazu...

Ma być kampania osławiająca z drogim gazem...

Jeżeli w Wielkiej Brytanii, jak słyszę, ceny gazu wzrosły o 250 procent, to, żeby nie wiem, jak to osławiać, to przecież tego nie da się ośwoić. Trzeba płakać i zgrzytać zębami. Ja rozumiem cel Polskiego Ładu, on od początku został stworzony nie jako program ekonomiczny, bo to nie jest żaden koherentny program ekonomiczny, który ma nas przeprowadzić do nowego czy lepszego, bardziej efektywnego, bardziej innowacyjnego, bardziej konkurencyjnego modelu gospodarki. To jest program wymyślony przez socjologów, politologów, specjalistów od PR. I został skonstruowany według następującej filozofii: jak działać w gospodarce, jak rozdawać pieniądze, żeby grupy, które na PiS głosowały albo powinny na PiS głosować, nadal głosowały na PiS. Z kolei grupy, które na PiS nie głosowały i nie zagłosują, niech ponoszą koszty. W tym sensie to program bardzo polityczny, bardzo wyborczy. Z tego względu też niebezpieczny. Nie wiem, czy to się wszystko może budżetowo spisać. Bo tego nigdy dokładnie nam nie pokazano. Skoro wpływów do budżetu będzie o tyle a tyle mniej, to czym one mają być zastąpione, skąd one mają przyjść? To też trzeba powiedzieć: ten rząd unika jak ognia stwierdzenia, że ktokolwiek będzie płacił więcej...

Każdy rząd tego unika...

Może i unika, ale w którymś momencie odpowiedzialność i rzetelność wymagają jednak jasnego stwierdzenia, że na przykład osoby właśnie z tej górnej części klasy średniej czy osoby zamożne powyżej klasy średniej będą płaciły podatki o naście procent wyższe, że przedsiębiorcy będą musieli wziąć na siebie o tyle i tyle więcej. Matematyka o tyle się różni od politycznego PR, że liczby mają w niej znaczenie.

No tak, ale czy ten plan został dobrze przemyślany? Z jednej strony ma docierać tylko do elektoratu PiS, ale ten elektorat – powiedzmy – osoby starsze, osoby mniej zamożne, ale ten elektorat jest połączony z innym elektoratem. Na przykład rodzice mają dzieci, które posiadają

zakład fryzjerski czy zakład samochodowy. Wtedy to już jest kłopot, bo ci ludzie przy rodzinnym stole będą o tym rozmawiać, będą się o tym przekonywać wzajemnie, że muszą płacić więcej przez PiS.

Dlatego też ten efekt propagandowy Polskiego Ładu jest mniejszy, niż oczekiwał PiS. Że ten odbiór nie jest prosty ani tak entuzjastyczny, jak oczekiwano. Propagandowo to już jest porażka, a jak będzie w praktyce, to jeszcze zobaczymy.

A czy Polski Ład może zmienić strukturę klasową polskiego społeczeństwa?

W moim przekonaniu trudno łączyć to z Polskim Ładem. Stworzenie trwałej klasy średniej to przede wszystkim danie moż-



Stworzenie trwałej klasy średniej to przede wszystkim danie możliwości rozwojowych, finansowych tym, którzy mają wejść wyżej.

liwości rozwojowych, finansowych tym, którzy mają wejść wyżej. To jest kwestia miejsc pracy, zarobków, efektywności polskiej gospodarki i zysków przedsiębiorstw. W tym celu musi być zastosowane więcej mechanizmów proprodukcyjnych, wzmacniających przedsiębiorstwa, a nie tylko polegających na rozdawnictwie i wyciąganiu ludzi z biedy. Trzynastka czy czternastka rozdawana emerytom jest wsparciem w ich sytuacji życiowej, ale nie spowoduje żadnych inwestycji. Ona może zwiększyć najwyżej konsumpcję. Tak samo pieniądze skierowane do rodzin najuboższych. Dużo ciekawsze byłoby na przykład zastanowienie się, czy może powstać jakiś system tanich, a nawet wręcz bezzwrotnych kredytów, który pomógłby młodym ludziom z ubogich rodzin w próbowaniu jakiejś działalności gospodarczej. Można powiedzieć, że to jest bardzo liberalne stanowisko, ale wcale nie jest tak bardzo liberalne – tak się robi na świecie. Przykładem jest choćby działalność udzielającego takich mikrokredytów Grameen Banku Muhammada Yunusa w Bangladeszu, za którą Yunus został uhonorowany Pokojową Nagrodą Nobla.

PiS proponuje w Polskim Ładzie mieszkania bez wkładu własnego.

Tak, ale to jest ciągle zaspokajanie potrzeb socjalnych. Ja nie ma nic przeciwko temu, niech takie mieszkania będą. Z programami mieszkaniowymi od 30 lat wszyscy mamy w Polsce problemy i nikomu w gruncie rzeczy nie udało się stworzyć takiego programu. Ale dla mnie ciekawsze byłyby na przykład

fundusze kredytowe, które pozwoliłyby młodym ludziom powiedzieć: „Dobra, nie mamy nic, bierzemy ten kredyt, zakładamy coś w swoim miasteczku czy na wsi. Niech to będzie kiosk, niech to będzie fast food. Niech to będzie warsztat naprawy samochodów czy maszyn rolniczych”. To byłoby realnym podniesieniem możliwości ludzi, którzy dzisiaj nie mają szansy na awans do klasy średniej.

Według Marcina Dumy, autora badań, o których rozmawiamy, to właśnie klasa średnia oraz ci Polacy, którzy do niej aspirują, mogą zdecydować o tym, kto wygra następne wybory.

To może być w niektórych aspektach trafna prognoza. Ale moim zdaniem Polska jest w tej chwili jednak w nieco innym



Kluczowe jest chyba to, że żadna klasa średnia ani nam się nagle nie stworzy, ani nie rozpadnie.

momencie. Kluczowe jest chyba to, że żadna klasa średnia ani nam się nagle nie stworzy, ani nie rozpadnie. Nie oczekuję jakiegoś gwałtownego kryzysu gospodarczego – a na przykład zwycięstwo Trumpa było w dużej mierze związane z kryzysem finansowym 2008 roku, kiedy mnóstwo ludzi z klasy średniej zostało zdegradowanych do klasy niższej. Nagle okazało się, że nie mogą utrzymać domu, który kupili za kredyt hipoteczny. Nagle okazało się, nie mogą wysłać dzieci do szkół, do których wysyłali je wcześniej. Nagle okazało się, że nie mają żadnych szans na rozwijanie swojego biznesu, bo nie są wiarygodni na tyle, by uzyskać kredyt. I ten poziom frustracji, który w Stanach Zjednoczonych narastał w związku z dość masową degradacją klasy średniej był jednym z czynników zwycięstwa Donalda Trumpa. Ja nie przewiduję w naszej sytuacji jakiegoś równie nagłego wydarzenia. Tak więc jeżeli klasa średnia będzie rosła, to będzie rosła stosunkowo wolno. Podobnie rzecz ma się z jej ewentualnym kurczeniem się. Nawet jeśli Polski Ład odbierze komuś szansę na prowadzenie własnej firmy, to też nie będzie to zjawisko aż tak powszechne, by porównywać je z sytuacją w Stanach Zjednoczonych po kryzysie 2008 roku. Myślę więc, że wybory w Polsce będą rozstrzygnięte na innych płaszczyznach. Na pewno taką płaszczyzną będzie sytuacja ekonomiczna, czyli inflacja, drożyzna i ogólne poczucie bezpieczeństwa ekonomicznego Polaków. Na pewno też taką płaszczyzną będzie kwestia Unii Europejskiej, niedoceniana przez rząd, który prowadzi politykę antyeuropejską, podczas gdy 80 procent Polaków jest za Europą, za Unią Europejską, to jest lekko samobójcze. Trzecim elementem będą na pewno spory światopoglądowe, które już mają miejsce i się nasilają. Czwartym elementem, który rząd może wykorzystywać, są zagrożenia zewnętrzne, czyli

kwestie bezpieczeństwa. Jeżeli kryzys na wschodniej granicy będzie się przedłużał, jeżeli będzie się zaogniał, to oczywiście dla rządu to będzie, w sensie wyborczym, korzystne.

Jak w 2015 roku.

W takich momentach ludzie stają się bardziej ostrożni, obawiają się po prostu. Zresztą zmiany rządu w sytuacji kryzysowej niekoniecznie są dobre. Ale zawsze też może wypłynąć jakiś czynnik zupełnie nieprzewidywalny, emocjonalny, który zmieni tę grę.

To, gdzie jest Polska dzisiaj, w małych miasteczkach? Zwracający się do małomiasteczkowego elektoratu Tusk w wydaniu z konwencji z Płońska to dobry pomysł, żeby się przebić do ludzi?

W związku z tym, że mamy dosyć ustabilizowane elektoraty od wielu wyborów i w dodatku znajdują się one w czymś w rodzaju równowagi, to poszukiwania rezerwuaru nowych głosów powinny się odbywać nie w dużych miastach, gdzie jest przewaga opozycji, i nie na wsi, gdzie jest przewaga rządzących, ale właśnie w małych miastach w rodzaju Płońska. A także w młodym pokoleniu. Pamiętajmy, że w każdych wyborach przychodzi do urn kilkaset tysięcy nowych, młodych ludzi, którzy dotąd nie głosowali.

Oni nie zawsze chętnie głosują.

Dlatego trzeba do nich dotrzeć. Uważam, że jeżeli ktoś skutecznie dotrze, to ma szansę wyrwania tych 100–200 tysięcy głosów. Jeżeli zaś 100–200 tysięcy głosów dojdzie nagle do ogólnej puli, to może zmienić ostateczny wynik wyborczy. Pamiętajmy, że w Polsce mamy sytuację, nie wiem, od ilu wyborów, że siły rozkładają się mniej więcej pół na pół. Ostatnie wybory prezydenckie wygrał urzędujący prezydent przewagą zaledwie 400 tysięcy głosów. Pokonanie go to nie byłby nieosiągalny cel. Przy trochę innej kampanii, przy dotarciu właśnie do tych grup społecznych, w których wciąż są nieoddawane głosy, w tym do młodych ludzi.



...zasadniczy problem polskich polityków polega na tym, że oni docierają do mikrofonów i kamer zamiast do ludzi.

Mamy w Polsce do czynienia z polityczną polaryzacją. I mamy dwie, że tak powiem „stare” partie, Prawo i Sprawiedliwość, Jarosław Kaczyński, Donald Tusk i Platforma Obywatelska. To raczej nie są propozycje dla młodych ludzi. A czy taką propozycją może być Lewica?

Lewica obiektywnie miałaby dużą szansę. Jak się pyta osoby między 18. czy tam nawet 16. a 25. czy 27. rokiem życia, to dwie partie mają wśród nich wyraźną przewagę... Lewica i Konfederacja. Problem z tym młodym elektoratem jest taki, że on w sondażu występuje bardzo chętnie, ale przy urnach wyborczych pojawia się już rzadziej. Więc to jest też kwestia dotarcia. Myślę, że Konfederacja ma niemałe szanse dotarcia do młodych. Patrząc na liderów Konfederacji – ja się z nimi w niczym oczywiście nie zgadzam – i widzę, że oni są wiekowo przygotowani i w sensie komunikacji też sobie całkiem nieźle radzą. Ale kiedy patrzę na Lewicę i Razem, szczególnie te młodsze panie posłanki, to również widzę spore szanse na dotarcie do młodych. Natomiast zasadniczy problem polskich

polityków polega na tym, że oni docierają do mikrofonów i kamer zamiast do ludzi.

To jak mają docierać do ludzi? Jeździć? Mateusz Morawiecki jeździ.

No dobrze – on wykonuje w dużej mierze właściwą pracę. Natomiast wszyscy ci, którzy rezygnują z kontaktu bezpośredniego, z rozmów, z poświęcenia czasu itd., a szczególnie w stosunku do ludzi młodych, popełniają błąd. Wydaje się, że to jest już zamierzczła metoda polityczna, ale ona nie jest ani zamierzczła, ani nieskuteczna. Wymaga tylko pracowitości. ■

Rozmawiała:

Joanna Miziołek



Edwin Bendyk

Czy zdołamy powstrzymać klimatyczną,
gospodarczą i społeczną apokalipsę?



Agata Kołodziej: Na początku chciałabym przenieść się w czasie do 1972 roku, kiedy naukowcy legendarnego Massachusetts Institute of Technology stwierdzili, że nastawiona na nieustanny wzrost ekonomia musi w końcu doprowadzić do załamania gospodarki, rozpadu społeczeństw, a na koniec do upadku ludzkości. Ich symulacje pokazywały, że dotychczasowy model rozwoju gospodarki może działać najwyżej do 2040 roku, jeśli ludzkość nie zacznie brać pod uwagę kosztów środowiskowych i społecznych. Potem nastąpi krach. To oznacza, że aby cokolwiek z tym zrobić, zostało nam najwyżej 10 lat. Można oczywiście uznać, że od lat 70. minęło sporo czasu i być może łatwo było wtedy takie prognozy formułować, skoro rok 2040 był tak dalekim horyzontem. Ale ostatnio przyjrzała im się ponownie badaczka z KPMG, Gaya Herrington, która na koniec doszła do bardzo podobnych

konkluzji. Optymistyczna wersja jest taka: cywilizacja zmierza w kierunku ostatecznego spadku wzrostu gospodarczego, pesymistyczna taka, że w perspektywie 2040 roku całe społeczeństwa będą upadać. Pan jest zwolennikiem optymistycznej czy pesymistycznej wersji? Która z nich jest bardziej prawdopodobna?

Edwin Bendyk: Ciągłe mamy możliwość realizacji optymistycznego scenariusza. To zależy od decyzji, jakie podejmiemy. Te 10 lat tutaj wspomniane, czyli dekada do 2030 roku, to kluczowy czas, choć pewnych procesów już nie zatrzymamy. Najnowszy raport Międzyrządowego Zespołu do spraw Zmian Klimatycznych w oparciu o badania prowadzone cyklicznie od prawie 50 lat pokazuje, że już niezależnie od tego, co zrobimy, takie zmiany jak np. podnoszenie się poziomu mórz i oceanów czy topnienie pokrywy lodowej będą trwały jeszcze setki lat.



Po prostu przekroczyliśmy już pewną granicę i to jest fakt. Musimy się zmierzyć między innymi z tym, że nie ma już powrotu do klimatycznej normalności, o jakim można było marzyć jeszcze w latach 70.

Ale to jeszcze nie znaczy, że jesteśmy skazani na ten czarny scenariusz. Ciągłe jest niewielkie okno na działanie. Najprostsza recepta jest jedna: zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych. To już dobrze wiemy. Spotykam zresztą coraz mniej ludzi, którzy w ogóle kwestionują tę wiedzę i którzy potrafiliby spektakularnie wyrażać swoje wątpliwości. Kiedy przegląda się wyniki badań, nie ma już społeczeństw, jakichkolwiek, w których przeważałaby większościowa opinia, że zmiany klimatyczne nie istnieją i że nie jest za nie odpowiedzialny człowiek. Przekroczyliśmy więc już pewną świadomościową barierę. Teraz pozostaje nam pytanie, czy jesteśmy w stanie

uruchomić wszystko, co trzeba, żeby przejść do stanu neutralności klimatycznej, czyli do zerowego bilansu emisji gazów cieplarnianych. To jest największe wyzwanie współczesnego świata.

Specjaliści, inżynierowie, naukowcy mówią, że teoretycznie, pod względem technologicznym jest to możliwe, natomiast realizacja tego planu to niebywale przedsięwzięcie. Mówiąc szczerze: nikt czegoś takiego nie próbował w historii. Nawet te planowe próby narzucenia wielkich przemian cywilizacyjnych realizowane w państwach socjalistycznych – chociażby ta forsowna industrializacja prowadzona w Polsce niedługo po wojnie – to całkiem niewiele przy tym, co musimy zrobić teraz siłami całej ludzkości. A jednak wspomnienia dotyczące tego, co się działo w Polsce po wojnie, nie są takie znowu najprzyjemniejsze. Więc wyzwanie jest nie lada.

Tylko jak to teraz wytłumaczyć społeczeństwu, że już nie mogą konsumować tyle, ile do tej pory? Jak wyjaśnić to Polakom, którzy tak naprawdę dopiero w ostatniej dekadzie poculi, że mogą konsumować jak ten świat, o którym zawsze marzyli?

No właśnie, tu dotyka Pani kluczowego problemu. My jesteśmy zaliczani do społeczeństw już zamożnych, a jest jeszcze cała reszta świata, myślę o Afryce, o Ameryce Łacińskiej, o znacznej części Azji. Patrząc na Polskę jako na kraj Unii Europejskiej, w dodatku w relacji do innych części świata kraj całkiem zamożny. A przecież my ciągle uważamy się za społeczeństwo jeszcze na dorobku, dopiero aspirujące do poziomu życia Niemców czy Francuzów. No więc, jak myślę o sobie mieszkańcy Afryki? Też chcieliby żyć dobrze, nawet jeśli nie do końca definiują swoje wzory konsumpcji tak jak my, to pozostaje faktem, że chcieliby na pewno. Tym wektorem, który decyduje o przyszłości, są procesy przenoszenia się ludzi ze wsi do miast. W Afryce trwa w tej chwili bardzo przyspieszona urbanizacja, a jednocześnie wzrost demograficzny. Na tyle silny, że Afryka będzie miała w 2050 roku o miliard ludzi więcej niż obecnie. Tam jest gigantyczny przyrost naturalny i gigantyczny odsetek młodych ludzi w populacji. To oznacza zupełnie inne aspiracje. I nawet, jeśli w afrykańskiej perspektywie nie chodzi o to, żeby mieć dwa samochody na rodzinę, to samo wybudowanie odpowiedniej ilości mieszkań już oznacza gigantyczną zmianę.

Dobrze więc, powiedzmy, że Afryka nie musi, bo nie może przestać konsumować. I tak zresztą nie konsumuje nadto.

Faktem jest, że kiedy popatrzymy na emisję od strony konsumpcji, to odpowiedzialni za ponad połowę emisji gazów cieplarnianych są mieszkańcy krajów najbogatszych, czyli Unii Europejskiej, Japonii i Stanów Zjednoczonych. To właśnie my musimy zacząć myśleć najszybciej. To się już dzieje, jak się popatrzy na powolne jednak zmiany choćby we wzorcach konsumpcji mięsa. Nawet we Francji, która jest krajem niezwykle silnie przywiązany do określonych tradycji kulinarnych, spadek spożycia wołowiny w ciągu ostatnich lat jest naprawdę zauważalny. Spory odsetek ludzi zmienił tam swoje nawyki. Polska na tym tle jest zaś bardzo dobrym krajem do patrzenia zarówno na te negatywne trendy, jak i na te pozytywne.

Dlaczego? My też jesteśmy skłonni się zmieniać?

Tak. Zobaczmy, jak szybko zmieniliśmy swoje wzory zachowań po 1989 roku, nawet w takich aspektach, które wydawały się, że są niezmiennie – jak choćby w kwestii polskiej etyki pracy. Pamiętam, co się mówiło o pracy w PRL-u i jeszcze w pierwszych latach po upadku PRL-u: „czy się stoi, czy się leży, pięć tysięcy się należy”. Już w 2000 roku, czyli dekadę po zmianie systemu, na świecie zaczęto mówić o polskiej „hard work etics”, czyli etyce pracy, jaką Polacy pokazywali. Najpierw tylko ci, którzy jeździli zarabiać za granicę, ale potem znalazło to potwierdzenie w różnych statystykach i badaniach dotyczących hierarchii wartości w polskim społeczeństwie.

Na przykład odsetek Polaków deklarujących twardo, że nie należy brać pieniędzy za nic, że zawsze trzeba uczciwie pracować na pensję, był najwyższy w krajach europejskich.



Zapominamy też, że na przełomie lat 80. i 90. ekologia była niezwykle politycznym tematem w Polsce i jednym z istotnych czynników transformacji.

Zapominamy też, że na przełomie lat 80. i 90. ekologia była niezwykle politycznym tematem w Polsce i jednym z istotnych czynników transformacji. Już w 1992 czy 1991 roku trzy czwarte Polaków, zaznaczymy, że znacznie biedniejszych niż teraz, deklarowało gotowość poświęcania części zarobków, żeby walczyć z zanieczyszczeniem środowiska. Fakt, że byliśmy wtedy krajem katastrofy ekologicznej, ale świadomość tej katastrofy wywoływała adekwatne działanie. Z tamtej katastrofy wyszliśmy – i to bardzo szybko – kwaśne deszcze są dziś tylko wspomnieniem starszych ludzi. Natomiast to była codzienność PRL-u. Warszawa nie miała oczyszczalni ścieków jak większość największych polskich miast, rzeki były niewyobrażalnie zanieczyszczone, na granicy biologicznej śmierci. Dziś to wszystko wydaje się być historią sprzed wieków, a nie sprzed zaledwie 20 czy 30 lat. To doświadczenie wydaje się dodawać otuchy. Być może znów jesteśmy w stanie aż tak bardzo się zmienić – zwłaszcza świadomości zagrożenia, które nadchodzi i coraz częściej nam się manifestuje chociażby w postaci suszy czy tych wszystkich intensywnych zjawisk pogodowych. Miasta zalane latem co drugi, trzeci dzień opadami tak silnymi, że instalacje burzowe nie są w stanie ich przyjąć, naprawdę działają na wyobraźnię. Myślę, że mamy już uruchomione procesy myślenia o tym, co to znaczy. I o tym, czy dobry styl życia i dobra jakość życia muszą naprawdę oznaczać taką samą jak dotąd konsumpcję w kategoriach ilościowych. Było to już widać po odkryciu, że dobre wakacje można spędzić w kraju. Odkrycie wakacji bez wyjeżdżania za granicę to już bardzo istotny symptom.

To, zdaje się, prowadzi do myśli, że powinniśmy się w jakiś sposób wycofać do natury, ale z drugiej strony mamy czwartą rewolucję przemysłową, cyfryzację, kryptowaluty, które pożerają ogromne ilości energii – i to też niszczy nasz świat. Jak połączyć te dwa żywioły? Konieczność odwrótu w kierunku natury i jednocześnie konieczność automatyzacji i cyfryzacji świata?

Wycofać do natury już się nie da, takie ciążoty musimy porzucić. Owszem, jest i taki nurt myślenia, że odejście od nowoczesności coś nam rozwiąże. Ale rozwiązałoby tylko za cenę

znacznego zmniejszenia liczby ludności na Ziemi. Po prostu potrzebny byłby jakiś rodzaj apokalipsy, który by spowodował, że znów byłoby nas tylko miliard. I wtedy byśmy sobie ustalali od nowa te relacje z naturą w takim bardziej ekologicznym czy romantycznym wariacie.

Szczerze? To też nie jest niemożliwe.

Tak. To też jest jeden z możliwych scenariuszy i on jest w grze. Możemy sobie wyobrazić choćby jakąś znacznie gorszą pandemię niż ta, której doświadczamy. Coś podobnego do dżumy z XIV wieku, która zabrała połowę mieszkańców zachodu Europy. Oczywiście, że nie możemy wykluczyć pojawienia się podobnych zagrożeń. Kolejny scenariusz to jakieś wojny czy rozstrzygnięcia przemocowe w skali nie lokalnej, ale globalnej. Tego też nie możemy wykluczyć.

Ale jeśli odłożymy na bok te najczarniejsze scenariusze, zobaczymy za sprawą propozycji, jakie formułują naukowcy, że wciąż można pogodzić wzrost liczby ludności na świecie z jednoczesnym wzrostem zapotrzebowania na energię. Musimy pamiętać, że globalny wzrost demograficzny zatrzyma się dopiero około 2060 roku. Do tego czasu będziemy mieli około 9–9,5 miliarda ludzi na Ziemi. Ale ciągle jeszcze będziemy w stanie obsłużyć potrzeby tej rosnącej liczby ludności, zmieniając infrastrukturę energetyczną na taką, która nie byłaby szkodliwa dla klimatu. Tylko musimy sobie zdawać sprawę, że to jest nie tylko zmiana technologiczna polegająca na tym, że Bełchatów, produkujący 6 gigawatów mocy w blokach węglowych, zostanie zastąpiony wiatrakami.

Jak to? Dlaczego to nie wystarczy?

Chodzi o zmianę samego modelu wytwarzania energii – także w systemie rozproszonych mikroinstalacji. To zresztą już się dzieje. Ta zmiana będzie o tym przypominać – to niedoskonała analogia, ale jednak działająca na wyobraźnię – jak zmienił się sposób funkcjonowania systemów komunikacji, zarówno jeśli chodzi o telekomunikację, jak i media. Jeszcze 30 lat temu mieliśmy kilka stacji telewizyjnych, jednego monopolistę telefonicznego, który zarządzał całym ruchem. A nieco później nastąpiło upowszechnienie się internetu, które spowodowało, że – choć oczywiście mamy i sieciowe gigakorporacje jak Facebook – to jednak komunikacja została rozproszona, każdy może być nadawcą i odbiorcą. Dziś więc zupełnie inaczej ten ekosystem przepływu informacji wygląda. Coś podobnego można zrobić z energią – i to jest bardzo istotne, bo wraz z tą zmianą zmieni się także struktura i, by tak rzec, infrastruktura społeczna.

Co to znaczy?

Zyskają bardzo mieszkańcy wsi, którzy w tej chwili, bez względu na to, co robią, czy jest to akurat wytwarzanie żywności czy usługi turystyczne, mają zajęcia mniej płatne czy dochodowe niż to, co robią mieszkańcy miast, pracujący w zaawansowanych usługach finansowych czy sektorze zaawansowanych technologii. W momencie dołożenia komponentu

energetycznego mieszkańcy wsi staną się producentami czegoś jeszcze oprócz żywności, nie mniej ważnego. Pociągniemy ten temat – bo są i takie scenariusze – zmieni się także model polityczny, demokracja się wzmocni. Mówi się już o demokracji energetycznej, jedną z jej podstaw jest – poza tym, że ludzie są przekonani, że demokracja ma wartość – oparcie siły głosu w tym, że jesteśmy współproducentem kluczowego zasobu ludzkości, jakim jest energia. Można by tych wizji roztaczać dużo, ale to, co jest kluczowe, to właśnie uruchomienie w tej chwili wyobraźni. To znaczy wyobraźni, która by nam pozwoliła wyjść poza dotychczasowe schematy. Na takiej samej zasadzie, jaką już dobrze znamy z naszej całkiem niedawnej historii. W 1987 roku nikt sobie nie wyobrażał tego, co będzie w roku 1991 czy 1992. Jak szybko może nastąpić zmiana, choćby takie banalne rzeczy jak uwolnienie złotówki i urealnienie dochodów. Byliśmy nagle biedniejsi, ale też nagle z dnia na dzień zarabialiśmy nie 20 dolarów, a 200 dolarów i już nie byliśmy zupełnymi nędznikami w stosunku do mieszkańców Zachodu. Banalny przykład być może, ale pokazuje, jak bardzo czasami nie dostrzegamy możliwości takiej skokowej zmiany, w której znajduje się rozwiązanie problemów pozornie nie do rozwiązania.

Dotknął Pan przed chwilą kwestii tego, w jaki sposób będziemy zarabiać. A chwilę wcześniej mówił Pan o pracy. To ja do tej pracy wrócę – i zarazem do wyobraźni. Keynes wieszczyl, że w 2030 roku wymiar pracy może skrócić się do 15 godzin. To raczej mało prawdopodobne, ale dyskusja o czterodniowym tygodniu pracy już się jak najbardziej toczy. Jak daleko możemy w tym ograniczaniu ilości pracy w naszym życiu zajść? I jak szybko ten proces Pańskim zdaniem może przebiegać?

Odpowiedź jest złożona dlatego, że nie ma jednego wzoru społeczeństwa, a w każdym społeczeństwie jest inna struktura wykonywanych zawodów oraz potrzeb społecznych i gospodarczych. Jeżeli popatrzymy na Polskę, to u nas tym, co jest decydujące i co będzie decydowało o rynku pracy, jest proces demograficzny, który polega na dwóch niedobrych tendencjach. Otóż starzejemy się bardzo szybko, a jednocześnie weszliśmy w fazę wymierania. I to nie ze względu na pandemię, która, owszem, trochę to przyspieszyła. Od 2013 roku więcej ludzi umiera, niż się rodzi. To już jest trwała tendencja, tak że będzie się zmniejszać populacja ludzi w Polsce i jednocześnie będzie się cały czas zmniejszać populacja ludzi w wieku – jak to się mówi – produktywnym.

Całkiem niedawno były wiceminister rodziny i współautor programu „Rodzina 500 plus” Bartosz Marczuk opowiadał, że Polska powinna mieć bardzo ambitny cel – i zwiększyć populację do 50 milionów.

Nasza Fundacja opublikowała raport profesor Ireny Kotowskiej – jednej z lepszych demografek nie tylko w Polsce, ale i na świecie – który pokazuje nam i tłumaczy, dlaczego takie cele są nierealne. Nie powinniśmy marnować dzisiaj zasobów na walkę z tym procesem zmiany demograficznej, który wszedł w pewną nieodwracalną fazę, przynajmniej

w horyzoncie półwiecza. Zamiast tego powinniśmy zacząć myśleć, jak tą sytuacją zarządzać. Japończycy robią to systematycznie od lat 70. Oni odkryli, że to już proces, na który nie mają wpływu w wymiarze społecznym, a więc mogą się do niego dostosować poprzez zmianę technologiczną i kulturową. W Japonii polega ona na tym, że rośnie popyt na pracę związaną z „usługami troski”. Trzeba się opiekować osobami starszymi, z niepełnosprawnościami, a młodych ludzi, którzy mogliby to robić, jest coraz mniej, w związku z czym robotyzacja wkracza również w taką sferę. I z całą pewnością będzie rosła rola robotów w relacjach z ludźmi starszymi, nie tylko jeśli chodzi o wykonywanie konkretnych prac czy zabiegów pielęgnacyjnych, ale nawet w takim wymiarze, który wydaje nam się bardzo abstrakcyjny, ale być może też trzeba będzie się do niego przyzwyczajać, czyli w zakresie bliskości. Robot jako towarzysz życia. Japończycy sobie z takimi myślami poradzili, ale to trwało kilkadziesiąt lat, bo oni już w latach 70. opracowali prognozy i dostosowali do nich w sposób realistyczny, a nie opowiadali sobie, co by było, gdyby tylko można było odwrócić nieodwracalne tendencje.

A my się ciągle jeszcze oszukujemy.

Obawiam się, że takie pronatalistyczne pomysły za chwilę skończą się w Polsce nieefektywnym przeznaczeniem za-



...w Polsce kwestia skracania tygodnia pracy będzie jeszcze bardzo długo co najmniej iluzoryczna.

sobów, które mogłyby ze znacznie lepszym efektem pójść na coś zupełnie innego. I właśnie dlatego w Polsce kwestia skracania tygodnia pracy będzie jeszcze bardzo długo co najmniej iluzoryczna. Wystarczy popatrzeć na te zawody, które już są niezbędne dla trwania społeczeństwa, a w których nie ma ludzi do pracy, czyli na lekarzy i nauczycieli. Lekarze pewnie chcieliby pracować cztery dni w tygodniu, ale za pensję, którą dziś mają dopiero, pracując 80 godzin tygodniowo. I podobnie jest z nauczycielami. Nauczyciele w dużych miastach pracują w wymiarze przynajmniej od półtora do dwóch etatów, żeby obsłużyć to wszystko. Bo nie ma po prostu nauczycieli i nie będzie więcej. Akurat takie zjawiska jak automatyzacja mogą być rozwiązaniem tego problemu. Bo automatyzacja będzie nam po prostu zastępowała brakujące zasoby pracy z pomocą maszyn.

We Francji mówi się wiele o skracaniu tygodnia pracy, bo tam systematycznie od wielu lat występuje strukturalne bezrobocie, zwłaszcza wśród ludzi młodych. Skrócenie czasu pracy

jest tu więc jakąś odpowiedzią – chodzi o podzielenie się zasobem pracy, żeby wszyscy mieli jakiś dochód. Ale to jest zupełnie inna logika.

Czy sztandarowy w tej chwili program gospodarczy i społeczny polskiego rządu, czyli Polski Ład odpowiada choćby kierunkowo na wyzwania, które stawia przed nami tak nakreślona współczesność?

Jedynym chyba konkretem z Polskiego Ładu, o jakim w ogóle można mówić, jest debata o podatkach. To jest wciąż w zasadzie jedyny aspekt tego programu zamieniony na propozycje konkretnych realizacji. I właśnie to nam uświadamia, że Polski Ład ciągle nie jest strategią. Owszem, to jest pewna wizja, nawet bardzo ciekawa, gdy się to miejscami czyta. Gdybyśmy wzięli na przykład fragmenty dotyczące tych spraw, o których przed chwilą mówiliśmy, to znaczy zmiany klimatycznej, to tam niczego nie pisze się o klimacie. Nie ma tego słowa, autorzy konsekwentnie go unikają, ale zarazem z propozycji, które się w programie pojawiają, można wywnioskować, że jest w nim cały pakiet klimatyczny. Jest energetyka jądrowa, są spółdzielnie rolnicze, spółdzielnie energetyczne oparte o odnawialne źródła energii, są wspólnoty mieszkaniowe, które mają prawo produkcji energii, zielony wodór się pojawia, a w szkołach edukacja ekologiczna. Jest więc cały pakiet rozwiązań, tylko że one są w różnych miejscach, nie tworzą żadnej spójnej całości.

Jeśli porównamy z Polskim Ładem na przykład Strategię Odpowiedzialnego Rozwoju z 2016 roku, to jest to raczej program wyborczy. Ma strukturę programu wyborczego. Jest tam też wiele pułapek czy pewnych niebezpiecznych elementów, które pokazują dążenie do ponadproporcjonalnego wzmacniania roli państwa i pozbawiania kompetencji samorządów. Samorządów, które z kolei przy tej transformacji klimatyczno-energetycznej, o której mówimy, są zupełnie niezbędnym elementem. Większość tych zmian musi się dokonać w wymiarze lokalnym i w warunkach pełnej podmiotowości społeczności lokalnych.

Natomiast, wracając do punktu wyjścia, czyli do tego, jak wyglądała awantura o podatki, zauważymy, że obecna władza – przy jej słabnącej legitymacji politycznej i przy tym wszystkim, co się dzieje w Sejmie – nie ma już mocy realizacji trwałego programu i będzie działać oportunistycznie. Każdy kawałek tego planu będzie przedmiotem różnego typu walk, targów – i na końcu będziemy dostawali zupełnie nieoczekiwane produkty, w zależności od tego, jak się udało łączyć głosy w parlamencie, żeby coś przegłosować. I nie, ja nie jestem nieprzejednanym krytykiem tego rządu. Efekty jego działań bywają w niektórych zaskakujących aspektach naprawdę obiecujące. W ciągu ostatnich kilku lat Polska stała się na przykład krajem z najszybciej rozwijającym się rynkiem paneli fotowoltaicznych. Uruchomiliśmy w ciągu półtora roku 5 gigawatów mocy fotowoltaicznej. To zrobił rząd, którego przedstawiciele w 2018 roku w Katowicach mówili, że węgiel będzie w Polsce spalany jeszcze przez 200 lat. To zupełnie nieoczekiwany jak na rząd PiS, można powiedzieć,

wektor rozwoju. Ale ten sam rząd podejmował decyzję o inwestycji w Ostrołęce czy też prowadzi tę bezsensowną walkę o Turów.

Jednym słowem, szarpiemy się chwilowo sami z sobą...

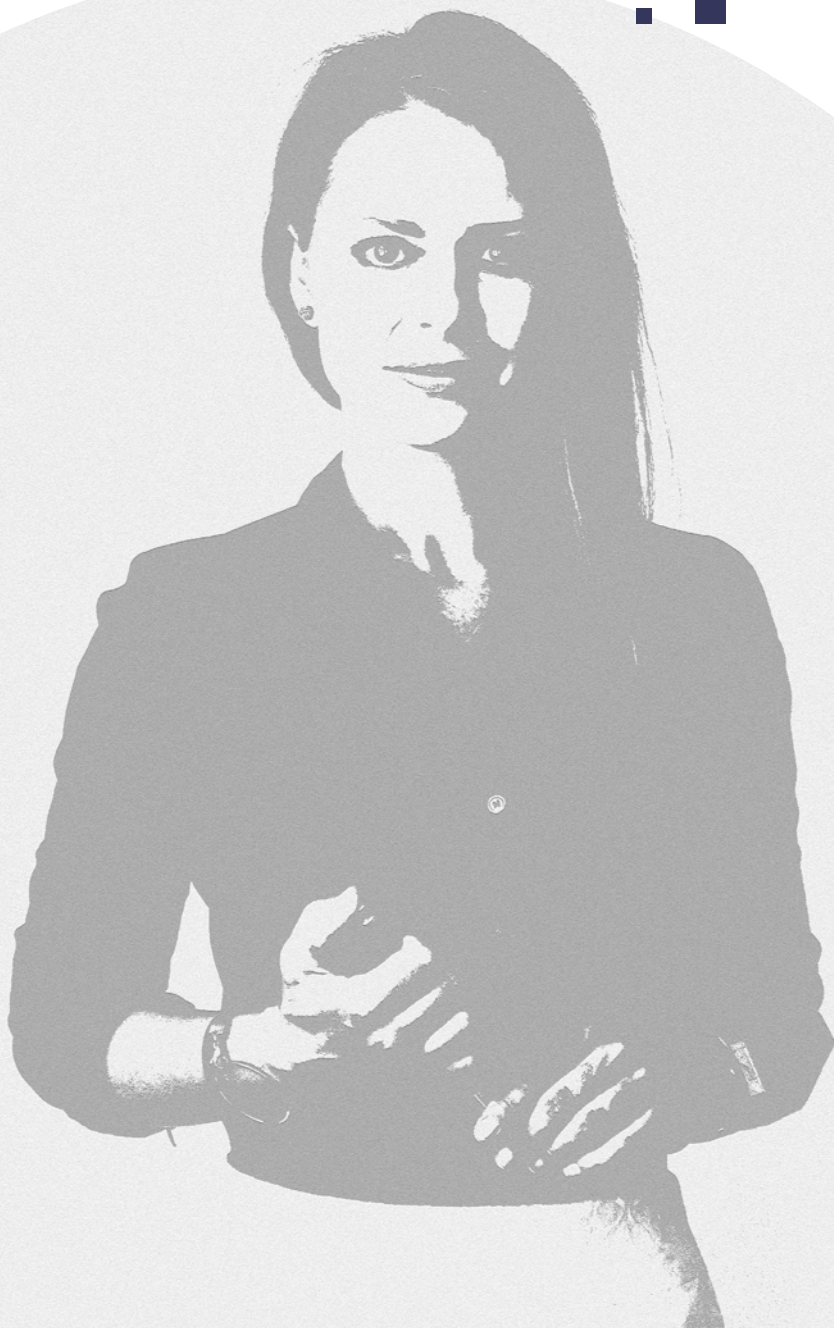
Szarpiemy się sami z sobą. Niestety, nie jest to cecha tylko tego rządu. W Polsce po 1989 roku po prostu nie mieliśmy strategii rozwojowych. Pewną próbę podejmował Michał Boni ze „Strategią 2030”, ale to była bardziej jego własna strategia niż rządu PO–PSL. Donald Tusk nie miał nigdy serca do

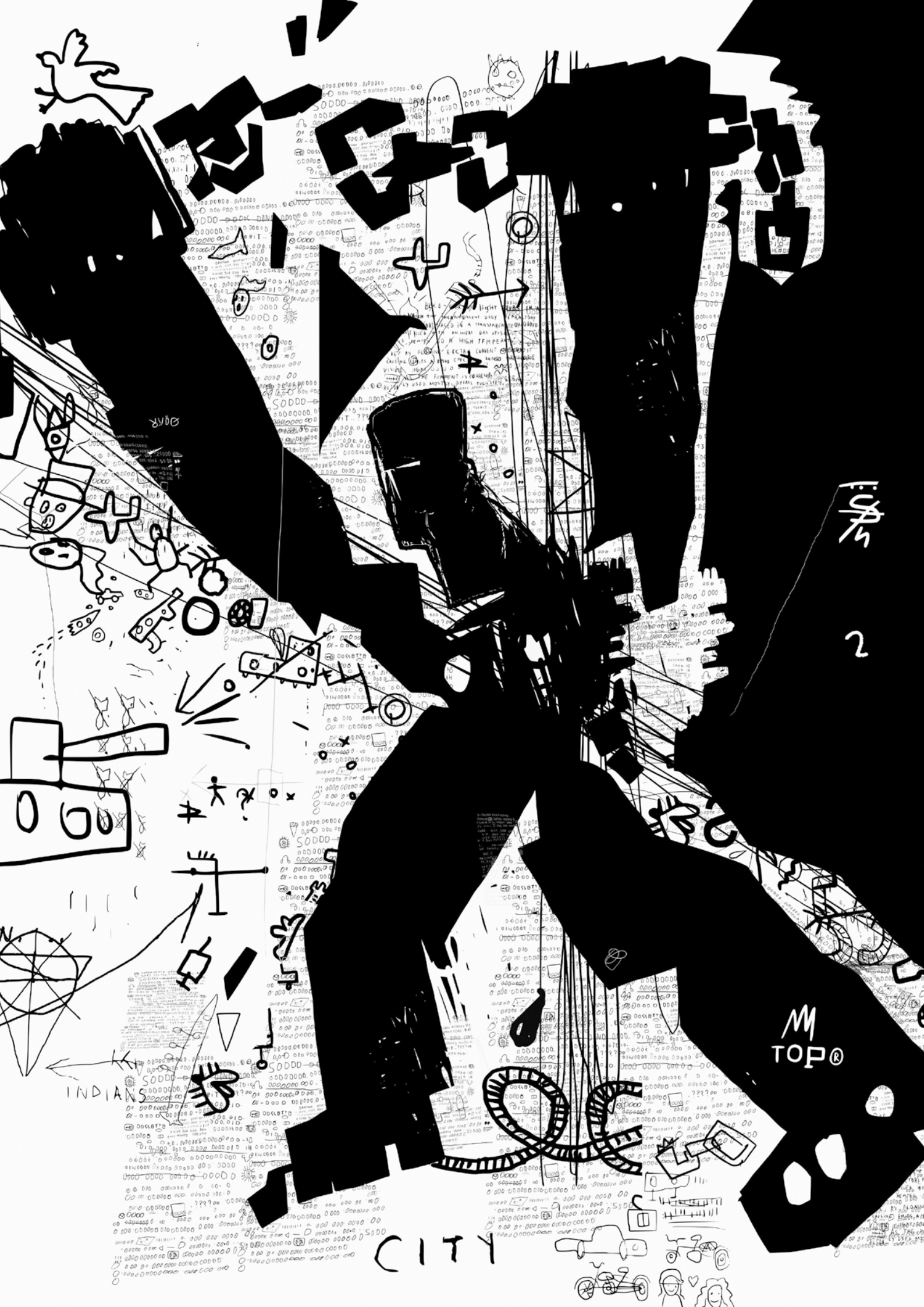
strategii, wolał działać taktycznie, oportunistycznie. I tak było zawsze, poza nielicznymi wyjątkami, jak ten moment, kiedy profesor Hausner był wicepremierem i proponował pewne zmiany instytucjonalne.

Polska nie widziała wielkich strategii, widziała tylko różne próby PR-owe. Ten rząd się w tym szczególnie specjalizuje, to znaczy lubi mówić o wielkich strategiach, o wizjach Wielkiej Polski, ale chociażby Strategia Odpowiedzialnego Rozwoju pokazuje, jak fantastyczna wizja z PowerPointa niewiele ma wspólnego z tym, co się naprawdę dzieje w kraju. ■

Rozmawiała:

Agata Kołodziej





Jacek Dukaj

**Kiedy przestaniemy wierzyć w mit
klasy średniej, ludzie pójdą z kamieniami
na pałace demokracji**



Agata Kołodziej: Czy polska klasa średnia potrafi jeszcze posługiwać się piśmem? Kim właściwie według Pana jest przedstawiciel polskiej klasy średniej? Człowiekiem? Podmiotem z jakimś „ja”, czy czynnością, którą wykonuje – oglądaniem serialu czy śledzeniem celebrytów na Instagramie, maszyną do przeżywania? Czy w ogóle polska klasa średnia ma jeszcze duszę?

Jacek Dukaj: Ja nie wiem, co to jest klasa średnia. Bo posługujemy się pewnym terminem, który ma swoją genealogię, historię użycia w kulturze, literaturze, dyskusjach politycznych, ale w dzisiejszej rzeczywistości funkcjonuje on głównie jako artefakt kulturowy, fantazmat. Badania, od których to się zaczęło – a prześledziłem przed naszą rozmową historię tych dyskusji w ramach Forum IBRIS – i mam wrażenie, że są tu jakby dwa początki. Jeden, początek bezpośredni, związany

jest Polskim Ładem i w momencie, w którym pojawiły się te propozycje opodatkowania ludzi, w cudzysłowie mówię teraz językiem PiS-u – „lepiej zarabiających”. Kontrakcją na to było: „oho, chcą zniszczyć, opodatkować, zgnać klasę średnią”. W tym momencie pojawia się klasa średnia jako podmiot dyskusji publicznej. Jako ktoś, kto jest poszkodowany przez PiS. Wobec tego, jeśli czujesz się klasą średnią, musisz przystąpić do ruchu antyPiS-owego. To szantaż moralny, bo klasa średnia jako rodzaj artefaktu kulturowego jest dobrze spozycjonowany. Chcesz się uważać za członka klasy średniej, a PiS gnębi klasę średnią, wobec tego PiS gnębi ciebie, zatem ty jesteś antyPiS.

Manipulacja doskonała.

Prawda? Ale pytanie brzmi: w jakim sensie takie byty istnieją, jaki rodzaj – tutaj trochę będziemy posługiwać się językiem



filozoficznym – statusu ontologicznego możemy przypisać takim bytom jak klasa średnia. Jeżeli mówię, że ktoś jest człowiekiem, to mogę dokonać pewnego testu biologicznego, sprawdzić, czy jego DNA mieści się w zakresie przypisywanym homo sapiens. I wiem, że to jest człowiek, prawda? Jeśli mówię, że ktoś jest wykształcony, to mogę mu spojrzeć w papiery i zobaczyć, czy ma taki a nie inny stopień naukowy. A w jaki sposób można sprawdzić istnienie takiego bytu jak klasa średnia? Czy mogę tę klasę średnią wskazać palcem, czy mogę zebrać, w sposób obiektywny, członków klasy średniej i powiedzieć: „ten należy do klasy średniej, a ten nie należy do klasy średniej”? Czy to nie jest coś takiego jak, mniej więcej, samoidentyfikacja na zasadzie „ja jestem ponadprzeciętnie inteligentny”? No i pytamy ludzi: „czy uważasz się za ponadprzeciętnie inteligentnego?”. I wychodzi, że 99 procent populacji jest ponadprzeciętnie inteligentna. Mamy do czynienia z czystą fikcją, która bardzo mocno odbiła się na poziomie popkultury, która funkcjonuje niezależnie od realu.

Podobny fenomen zaszedł w Stanach Zjednoczonych w momencie, gdy dużą popularność zyskał serial „Downton Abbey”. „Downton Abbey” zaprojektował nowy rodzaj arystokracji. USA nie mają swojej własnej arystokracji, są ufundowane na projekcie egalitarnym, gdzie z definicji nie było i nie będzie nigdy arystokracji. Tym niemniej posiadanie czegoś takiego jak warstwa społeczna kulturowej arystokracji jest naturalną potrzebą człowieka. Współcześnie to się realizuje przez celebrytów, przez aktorów, przez istniejące w innych porządkach społecznych – jak brytyjski – faktyczne powidoki arystokracji, jak rodzina królewska, która w tej chwili jest już rodziną półamerykańską. Więc ludzie potrzebują mieć tego typu punkty odniesienia. W społeczeństwie, które jest formalnie: prawnie, konstytucjonalnie i strukturalnie pozbawione arystokracji, arystokracja jako punkt odniesienia kulturowego zaczęła funkcjonować. Zaczęła być moda na to, aby się ubierać jak w „Downton Abbey”, żeby mieć ten typ lifestyle'u, opartego na wypełnianiu pustki życiowej – arystokrata jest z definicji tym, który nie pracuje, wobec czego cały swój czas poświęca na to, żeby dobrze żyć, dobrze spędzać czas. Ja nie muszę niczego robić, ale mogę coś robić. To jest umiejętność, która została całkowicie zarzucona przez większość XX wieku, kiedy praca, zwłaszcza na Zachodzie, była czymś, co cię definiowało i ustawiało w drabinie społecznej. I teraz coś takiego jak całkowicie fikcyjna warstwa społeczna – arystokracja – zaczęła być żywym artefaktem kulturowym. Na podobnej zasadzie można powiedzieć, że klasa średnia jest żywym artefaktem kulturowym, pomimo nieistnienia klasy średniej jako takiej, prawda?

Jest Pan przekonany, że w Polsce klasa średnia nie istnieje?

I tu powstaje pytanie, co mamy na myśli, gdy mówimy o klasie średniej. W przekonaniu ludzkim, czyli w wyobrażeniu, coś takiego istnieje, nawet jeśli nie ma żadnej podstawy ekonomicznej, społecznej, kulturowej. To fenomen autoidentyfikacyjny.

Dotyczący ponad 72 procent polskiego społeczeństwa, bo według badań IBRIŚ właśnie taki odsetek Polaków uważa się za klasę średnią.

I to może być wykorzystywane do rozmaitych haseł politycznych, reklamowych. Mam wrażenie, że klasę średnią w Pol-



...klasę średnią w Polsce, w tym sensie wyobrażenia popularnego, w znacznym stopniu zbudowały komercyjne oddziaływania audiowizualne.

sce, w tym sensie wyobrażenia popularnego, w znacznym stopniu zbudowały komercyjne oddziaływania audiowizualne. Mam tu na myśli kampanie reklamowe, profil takich stacji jak TVN, produkcje kulturowe przez nie wybierane jako „nasze”, czyli identyfikujące tożsamość widzów TVN-u. I one zbudowały wyobrażenie o polskiej klasie średniej, niezależnie od tego, że istnieje ona w realu. Czy Pani zna człowieka, który żyje życiem bohaterów TVN-owskich komedii romantycznych? To jest artefakt czystej fikcji kulturowej.

Znam takich, którzy bardzo usilnie próbują.

Dokładnie, na tym polega siła reakcji tego typu fenomenu wyobrażenia życia, wyobrażenia lifestyle'u. To jest lifestyle, który może nie istnieć w realu, ale do którego aspirujemy, w którym sami siebie wyobrażamy. Co więcej, nawet jeśli sami siebie nie wyobrażamy i nie aspirujemy, to chcemy, żeby inni o nas myśleli, że my do tego aspirujemy, że już prawie jedną nogą jesteśmy. Więc w tym sensie to może dwupiętrowo funkcjonować. Jako fikcja ma pewną siłę oddziaływania, pomimo braku podstawy faktycznej.

Czym byłaby ta faktyczna podstawa?

W tych dyskusjach pojawia się głównie wyróżnik ekonomiczny. Zazwyczaj pojmowany jest on bardzo prymitywnie, na zasadzie automatyzmu, jako algorytm obliczania tego, co jest pośrodku. Czyli nie przynależymy do tych, którzy mają najwyższe zarobki, albo najwyższe posiadane bogactwo – a to są dwie różne rzeczy, można niczego nie zarabiać, a być bardzo bogatym – i nie przynależymy do najbiedniejszych. Ale z tego nie wynika jeszcze przynależność do klasy niższej per se. Bo można powiedzieć, że w każdym układzie ekonomicznym, w każdym układzie dystrybucji przychodu czy też bogactwa istnieje coś, co jest pośrodku. Na przykład: w Korei Północnej, jak sobie zestryfikujemy bogactwo, też będziemy mieli tych, co są pośrodku. Czy w Korei Północnej istnieje klasa średnia? Możemy zadać to samo pytanie w odniesieniu do historycznych struktur społecznych. W Mezopotamii też mieliśmy różną stratyfikację społeczną. I też byli ci, którzy zarabiali odpowiednik iluś tam kubków zboża na miesiąc, i ci, którzy

zarabiali mniej i najmniej. Czy to znaczy, że ci, którzy byli pośredku w tej hierarchii kubków zboża, to była klasa średnia? Nie widzi Pani pewnego absurdu w przykładaniu tego typu struktur społecznych do nieadekwatnych rzeczywistości cywilizacyjno-ekonomicznych?

Oczywiście, że tak. Tylko polscy socjologowie mają duży problem z tym, żeby zdefiniować pełną listę parametrów, które miałyby tworzyć tę klasę średnią. Pan ma jakieś pomysły na taką listę?

To jest dyskusja definicyjna. W teoriach, zwłaszcza w nowożytnym wydaniu, w których istnieje klasa średnia, ma ona pełnić pewną rolę w demokracji liberalnej. Ona nie została urodzona w naszych krajach, w demoludach, w Europie Środkowo-Wschodniej, tylko została urodzona na Zachodzie, w krajach tak naprawdę opartych na tradycji kupieckiej, burżuazyjnej. A jeśli się cofnąć w ogóle do źródeł, to tutaj źródłowymi pismami są pisma Arystotelesa i rola klasy średniej w stabilizacji demokracji. Ja bym się do tego przychyłał jako do pojęcia źródłowego. Czyli zobaczyłbym, w którym miejscu, w jakim kontekście narodziła się sama idea czegoś, co jeszcze wtedy nie było nazywane klasą średnią jako taką, ale która strukturalnie odpowiadała tej roli. I ustalenie było takie: zazwyczaj następstwem demokracji jest tyrania, ponieważ w momencie, w którym dajemy władcom narzędzie do kupowania sobie głosów, to w skończonym czasie doprowadzamy do sytuacji, kiedy władca tak naprawdę w całości rządzi chęciami, wolą ludu, dziś byśmy powiedzieli trendami wyborczymi. Wobec tego może sam z siebie ustanowić, w nieskończonym cyklu przekupywania wyborców, władztwo absolutne. To prędzej czy później rzeczywiście miało miejsce w tych republikach. Więc jak uniemożliwić albo utrudnić przejście do tyranii? Trzeba zbudować, w rozumieniu arystotelesowskim, tę najpewniejszą, najstabilniejszą klasę średnią.

Jakie cechy miałyby ona posiadać, żeby pełnić taką rolę w systemie demokratycznym?

Tam się zazwyczaj podawało trzy wyróżniki. Pierwszy to jest rzeczywiście wyróżnik materialny, ale nie dotyczył on tego, ile członek klasy średniej ma zarabiać, ale ile on posiada. Zazwyczaj chodziło o posiadanie majątku ziemskiego, z którego człowiek czerpie całość dochodu. On i jego rodzina są w tym sensie niezależni od wpływów zewnętrznych, nie muszą chodzić po prośbie do państwa, do cezara, do możnowładców przekupujących biedaków za ich głosy. W tym sensie jest to stabilizator demokracji. Bo w momencie, kiedy człowiek oddaje swój głos, nie jest pod żadną presją zewnętrzną, że jeżeli nie sprzeda swego głosu temu czy tamtemu, to nie będzie miał za co żyć albo jego status się obniży. Tym gwarantem było posiadanie minimalnej wielkości majątku ziemskiego.

Potem przełożyło się to na posiadanie domu – kiedy mówimy o demokracji brytyjskiej, a potem oszczędności wystarczających na przeżycie bez konieczności zadłużania się czy podejmowania pracy przez dwa lata – jeżeli masz takie

oszczędności w banku, to znaczy, że mentalnie jesteś na tyle stabilny i bezpieczny, że nie podejmujesz decyzji politycznych na zasadzie reakcji przestraszonego zwierzęcia. Wtedy wypadkowa tego typu decyzji politycznych, podejmowanych przez wystarczająco dużą klasę średnią, pozwala racjonalnie sterować państwem. I to jest w skrócie mechanizm opisujący rolę najbardziej starożytnej warstwy klasy średniej, oczywiście nie tak nazywanej.

Co poza czynnikami ekonomicznymi definiuje klasę średnią w demokracji?

Cóż z tego, że jakimś cudem posiadasz majątek, skoro mentalnie nadal nie jesteś członkiem klasy średniej, a twoje myślenie, odruchy, wybory polityczne przynależą do tej warstwy kulturowej, która została stworzona, wychowana w odruchu zależności, w odruchu feudalnym, w duchu bycia niewolnikiem czy też chłopem pańszczyźnianym, pracownikiem folwarku? Pomimo posiadanego majątku musisz mieć do tego pewną formację mentalną. Pytanie, czy ta formacja mentalna jest do nabycia w pierwszym pokoleniu, czy człowiek musi się urodzić w tej klasie, żeby być w naturalny sposób uwarunkowany, niezależny? To jest pytanie, na które w różnych kulturach dawane są różne odpowiedzi.

A trzeci wyróżnik?

Edukacja. Świat się skomplikował do tego stopnia, że nawet jeżeli posiadasz majątek i nawet jeżeli mentalnie przynależysz do tego kodu kulturowego: myślisz w sposób samodzielny, nie patrzysz na to, kto ci co zaoferuje za twój głos, nie jesteś uzależniony od zewnętrznych pomocy finansowych, to żeby w ogóle podejmować dobre racjonalne wybory, także polityczne, musisz mieć minimum orientacji w rzeczywistości. I to minimum orientacji wynika z wykształcenia. Bo możesz spełniać dwa pierwsze warunki, ale pozbawiony orientacji twój głos będzie miał wartość rzutu kostką. Nie będziesz się orientował w sytuacji, w której podejmujesz decyzję „tak” albo „nie”.

No i teraz pytanie brzmi: do jakiego stopnia wykształcenie jest skorelowane z tymi dwoma pierwszymi cechami? I to jest poważne pytanie dotyczące całej cywilizacji Zachodu.

Na które nie ma chyba jednoznacznej odpowiedzi mimo wielokrotnie przeprowadzanych badań...

To jest długa dyskusja, która zaczyna się od tego, że na Zachodzie w tej chwili załamuje się etos merytokracji. Od XIX wieku tak naprawdę cały zachodni liberalizm opierał się na bardzo mocnym rdzeniu hierarchii merytokratycznej, z postępem i technologicznym, i cywilizacyjnym oraz rozwojem ekonomicznym. W skrócie: dzięki temu, że zbudowaliśmy swoje społeczeństwo na zasadach merytokratycznych, to społeczeństwo jest stabilne, dobrze się rozwija, budujemy mocną gospodarkę i mamy postęp technologiczny, który także napędza gospodarkę. W tej chwili ten etos upada i to upada w bardzo radykalny sposób, do tego stopnia, że część college'ów w Ameryce wprost rezygnuje z kryterium

merytokratycznego przy przyjmowaniu nowych uczniów, nowych studentów, zastępując je kryterium selekcji, przynależności do jakiś grup, albo losowania. I krytyka merytokracji nie jest pozbawiona sensu.

Dlaczego?

Podstawowym zarzutem jest to, że cechy, które sprawiają, że to ty zwyciężasz w konkurencji merytokratycznej, nie zależą od ciebie.

A o jakich cechach mówimy?

Inteligencja, cechy charakteru i wykształcenie – wszystkie one pochodzą z zewnątrz ciebie. W przypadku inteligencji jest to mniej więcej pół na pół – geny i wychowanie. W przypadku wykształcenia prawie w całości zależy ono od tego, w jakiej rodzinie się urodziłeś i jak dużołożyli na twoje wychowanie rodzice. I cechy charakteru – tu znowu jest pół na pół, jednak z przewagą wychowania i okoliczności społecznych: do jakiego trybu życia zostałeś wytrenowany od małego.

Tutaj przykładami najbardziej hardkorowymi są dzieci tej nowej arystokracji technologicznej, tych wszystkich Zuckerbergów, Gatesów, i to, w jaki sposób oni są przygotowywani do przejęcia przywództwa w hierarchii merytokratycznej. Oni wcale nie muszą dziedziczyć tych dziesiątków miliardów dolarów po swoich rodzicach, wystarczy, że zostaną od małego wychowani do tego, by dzięki swoim własnym przymiotom w następnym obrocie koła generacji technologii zajęli tę samą pozycję co ich rodzice. Od małego są trenowani i pod względem charakterologicznym i posyłani do wszystkich najlepszych żłobków, przedszkoli, szkół, college'ów, uniwersytetów, tak, że na końcu wychodzą jako autentyczni zwycięzcy nowego wyścigu merytokratycznego. To nie jest tak, że dzięki wejściom, nepotyzmowi, powiązaniom rodziców zyskują to miejsce, nie, oni autentycznie są najlepsi w tym wyścigu merytokratycznym dzięki temu, że rodzice przekazali im geny, dali wytrenowanie i wykształcenie.

I to jest opis przynajmniej części powodów, których skutkiem jest koncentracja bogactwa, dość błędnie opisywana zresztą jako wzrost nierówności. Jak możemy temu zaradzić? Te najprymitywniejsze odruchy to jest właśnie niszczenie struktur merytokratycznych jako takich i zastępowanie ich jakimś rodzajem wyznacznika proporcjonalnego, w zależności od tego, gdzie się urodziłeś, do jakiej kultury przynależysz, jaką masz płęć, jakim językiem mówisz, albo losowanie. To nie są najlepsze rozwiązania, ale istnieje pewien rdzeń racjonalności w tej krytyce merytokracji.

W którymś z wywiadów mówił Pan, że nie ma alternatywy dla systemu opartego na merytokracji, ale ostatecznie jednocześnie nie jest ona do pogodzenia z demokracją. Jeśli teraz mówi Pan, że ta merytokracja powoli upada, to znaczy, że...

Jej etos upada...

Co to znaczy dla demokracji?

Widzi Pani, na Zachodzie uznawaliśmy, że merytokracja jest bardzo dobrze skorelowana z wartościami demokratycznymi. Czyli że w ramach liberalnej demokracji nie ma lepszego systemu dla awansu społecznego, dla mobilności, dla tego właśnie, żeby móc każdemu zapewnić prawo do marzenia o szczęściu, o bogactwie, o wywyższeniu się – społecznym i ekonomicznym. Czyli ten *Pursuit of Happiness*, który jest zapisany w konstytucji amerykańskiej.

Który ostatecznie doprowadza do zaniku klasy średniej, zamiast do jej rozbudowy.

Otóż to. I tutaj dochodzimy do przyczyn tak gwałtownego wzrostu krytyki merytokracji. Przyczyny są dwie, jedna jest strukturalna i moim zdaniem nie do przewalczenia – to jest postęp technologiczny, który spowodował, że, mówiąc w skrócie, bardzo dużo zawodów, biznesów, branż przestawilo się na tryb niematerialny, w którym się bardzo dobrze skaluje swoje umiejętności, wiedzę, zdolności, niezależnie od tego, ile cię jest – możesz być jeden na cały świat. Niezależnie od tego, w którym miejscu pracujesz i niezależnie od tego, pod który system podatkowy podpasz. I z tego właśnie powstały te wielkie fortuny świata cyfrowego: Silicon Valley, Wschodnie i Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych, a teraz Chiny z tego korzystają. To powoduje, że bardzo niewielka liczba osób jest w stanie czerpać korzyści z produktów dostarczanych dla całej ludzkości. Nie musisz mieć swojego własnego Microsoftu, swojej własnej Silicon Valley w każdym kraju, tylko wystarczy ci jeden na cały świat. Stąd



...mogą istnieć kraje, społeczeństwa, w których nie ma nikogo przynależącego do szczytu piramidy. Bo szczyt piramidy w całości znajduje się na przykład w Chinach albo w Ameryce.

ten układ piramidy, który był naturalny dla społeczeństw, teraz jest układem bardzo ostrej, wysokiej piramidy dla całego globu, a nie dla poszczególnych społeczeństw. Czyli mogą istnieć kraje, społeczeństwa, w których nie ma nikogo przynależącego do szczytu piramidy. Bo szczyt piramidy w całości znajduje się na przykład w Chinach albo w Ameryce. I nagle bardzo duża liczba osób zorientowała się, że nie ma żadnej możliwości, żeby dostać się na szczyt. Co więcej, że to jest szczyt, który ich nie pomieści, bo strukturalnie zrobił się taki wąski. Ponieważ postęp technologiczny, który przeniósł się

na cywilizację cyfrową, technologie cyfrowe, spowodował, że jeden wynalazek, który przynależał do jednego człowieka albo do firmy należącej do jednego człowieka, zaspokaja potrzeby tak dużej liczby osób na całym świecie, że strukturalnie na samym szczycie piramidy nie ma miejsca dla innych. Co w takiej sytuacji zrobić?

No właśnie? I w jaki sposób zagraża to demokracji?

Normalnie rozkład był taki, że ten środek piramidy był na tyle gruby, że mogła się tam pomieścić ta średnia warstwa społeczeństwa. W momencie, kiedy piramida staje się bardzo ostra, i ona tak naprawdę pokrywa cały glob, jest uniwersalna dla całego globu, a nie rozkłada się na pewne kraje, w większości krajów nie tylko nie ma klasy średniej, ale też klasy wyższej, tych multibilionerów z Ameryki, z Silicon Valley, Zuckerberga, Muska i im podobnych.

Ludzie w różnych krajach zostali więc zepchnięci i ze szczytu piramidy, i z jej środka. Oni ostatecznie się zbuntują?

To pytanie tak naprawdę nie dotyczy realności ekonomicznej czy politycznej, ale kulturowej. Do buntu nie trzeba zmian w dystrybucji władzy, przychodów, tylko żeby takie było wyobrażenie społeczne na temat tego, jak funkcjonuje nasz świat. Więc przez długi czas możemy działać w sytuacji, w której demokracja tak naprawdę nie istnieje, w sensie ideałów greckiej polis, że kierunek polityczny naszej społeczności uciiera się w równej dyskusji, wymianie poglądów i rozkładzie głosów wszystkich członków społeczności.

A na razie głośno o tym nie mówimy.

Pomimo że nie jest to już prawdą, mit funkcjonuje, odbywają się rytuały, wszyscy posługujemy się tymi pojęciami, oddajemy hołd bożkowi demokracji i czujemy się dobrze, bo przynależymy do społeczeństwa demokratycznego, prawda? Ale w momencie, kiedy ten mit pada, wtedy załamuje się struktura, a ludzie idą z kamieniami na pałace demokracji. I walka w tym momencie toczy się o to, żeby utrzymać tę warstwę fikcji kulturowej. Nie o to, jaka faktycznie jest dystrybucja dochodów, jak się podejmuje najważniejsze decyzje – bo tak czy owak nie wiemy, jak się je podejmuje, bo one zawsze są za zasłoną pewnych układów polityczno-ekonomicznych – ale chodzi o to, w którym momencie przeciętni wyborcy przestają w to wierzyć.

I na jakim etapie dzisiaj jesteśmy? Wierzymy? Nie wierzmy? Czy zaczynamy już podważać?

To się różni w zależności od naszego położenia na mapie systemu rozwoju demokracji liberalnej. My dopiero doganiałyśmy te etapy, które na Zachodzie już się zrealizowały, ciągle aspirujemy do tego, co tam jest już trochę *passé*. Więc u nas to się będzie jeszcze długo utrzymywać i stąd u nas są tak silne reakcje na głosy opisujące tak naprawdę realia Zachodu. Bo opis współczesnych realiów Zachodu, w przełożeniu na dzisiejsze realia Polski, jest koruptujący.

Dla nas nie jest dobrze, żeby wiedzieć dokładnie, jak działa liberalna demokracja na Zachodzie. My jeszcze powinniśmy bardzo mocno pracować w tym micie, w tej fikcji, że to jest nasz Święty Graal, powinniśmy budować tę strukturę, powinniśmy wierzyć, że to funkcjonuje i będzie funkcjonowało po wieczne czasy i dopiero za jakiś czas, kiedy zbudujemy te instytucje, zbudujemy naszą mentalność, drugie, trzecie pokolenie, które się wychowało w tej wierze, że demokracja liberalna jest najlepszym, jedynym możliwym systemem – trzeba nam zakazać nie tylko czytania Fukuyamy, ale krytyków Fukuyamy. Dopiero wtedy moglibyśmy przystąpić racjonalnie, z sensem i dobrym rezultatem dla Polski jako gracza geopolitycznego, do dyskusji na temat: co po demokracji liberalnej?

Ale jeżeli człowiek śledzi to, co się dzieje na Zachodzie, chce być jakby na froncie tych działań i co więcej – wyprzedzać i uczestniczyć w tych dyskusjach, które teraz intelektualiści Ameryki i podobnych krajów prowadzą, zadając sobie te pytania: „jak możemy zaradzić sytuacji, w której widzimy, że merytokracja nie spina się z demokracją liberalną”, „co możemy zrobić, żeby zarazem utrzymać naszą konkurencyjność na arenie światowej, jeżeli stracimy etos merytokratyczny w takich dziedzinach jak matematyka, fizyka, technologie komputerowe”, to tak naprawdę odpadamy z wyścigu geopolitycznego.

W którym dziś przodują Chiny...

Bo Chiny bardzo mocno inwestują w te dziedziny wiedzy, w te branże. W Chinach etos merytokratyczny nigdy się nie załamał. Być może dlatego, że ich etos merytokratyczny nie ma 300 lat, ale ma 2,5 tysiąca lat. Bo ta struktura władzy jest w dużym stopniu zbudowana na egzaminach cesarskich, które teraz są egzaminami państwowymi, partyjnymi, ale tak naprawdę one się tam zaczęły w okolicach początku naszej ery i oferowały – współczesnym językiem mówiąc – mobilność społeczną dla każdego. Jesteś synem chłopca, ale zdajesz egzamin cesarski i możesz awansować aż do głównego kanclerza dworu królewskiego w Pekinie. Cała ta ścieżka jest dla ciebie otwarta. Do tej pory to funkcjonuje i jest to jedyny system, który nie podlega korupcji w Chinach. Czy jesteś tam multimiliarderem, to i tak nie jesteś w stanie przepchnąć swojego syna przez te egzaminy. Musi przejść dzięki swojej własnej wiedzy, zdolnościom. Więc ten kręgosłup merytokratyczny w Chinach jest bardzo silny.

A u ich głównego konkurenta – USA – się załamał.

W Stanach on więdnie, kruszeje i jest tak naprawdę aktywnie niszczone przez rozmaite grupy wewnątrz Stanów Zjednoczonych, więc Stany Zjednoczone wydają się skazane na porażkę. Tam jest bardzo duże napięcie wśród intelektualistów świadomych tego, co się dzieje: „co zrobić? Jak wyjść z tej pułapki?”. Z jednej strony nie jesteśmy w stanie utrzymać sensownie etosu merytokratycznego bez uciekania się do fikcji kulturowych, które tylko budują następne iluzje, a z drugiej strony musimy odbudować nasze struktury merytokracji i włączyć je do tej konkurencji z Chinami. Niestety, w momencie kiedy konkurencja na poziomie geopolitycznym odbywa

się na takiej zasadzie, że mamy jeden system, wy macie drugi system, my w ramach swojego systemu ustawiamy takie warunki, które produkują lepszą gospodarkę, zapewniają lepszy postęp technologiczny, lepiej kształcą społeczeństwo, wobec tego budują naszą silną pozycję na świecie, i ten system – z grubsza opisany – nie jest demokratyczny – jest stricte merytokratyczny, a u was istnieje system demokratyczny, a w ramach tego systemu zwycięża ten, kto jest lepszy w prowadzeniu kampanii telewizyjnych albo ten, na którego większe pieniądze łożą grupy lobbystyczne, to który system zwycięży? To jest pułapka.

I teraz odpowiedź na to nie może być taka: „to w cholerę z konkurencją, my się trzymamy swoich standardów politycznych, umrzemy z demokracją na ustach”.

Chyba trochę tak myśli ogromna część polskiego społeczeństwa...

...ponieważ my jesteśmy te dwa etapy do tyłu, my dopiero próbujemy dogonić ten powidok pozostawiony już za Ameryką, właściwej demokracji liberalnej, tej, która kiedyś tam istniała w wyobrażeniu dwa pokolenia wstecz. Oni są już w momencie, kiedy ten system, z przyczyn strukturalnych przestaje być funkcjonalny. I muszą znaleźć dla siebie następny etap na tej ścieżce rozwoju.

Czy my w Polsce mamy na to ten czas potrzebny do zbudowania odpowiednich struktur i instytucji, mamy jeszcze te dwa pokolenia wiary w demokrację liberalną? Jeśli weźmiemy pod uwagę, jak bardzo technologie komunikacyjne skracają odległości i przyspieszają wszelkie procesy?

To nie sprawa Polski, ponieważ to, o czym opowiadałem, to konkurencja pomiędzy wielkimi imperiami, mocarstwami.

Oczywiście, ale my też musimy się jakoś odnaleźć na tej mapie pomiędzy dwoma mocarstwami, nawet jako ci małutcy, za mali choćby na przystawkę.

Jesteśmy krajem peryferyjnym. Pytanie do nas, to geopolityczne, brzmi: „jak się dobrze ustawić w tym miejscu, w którym jesteśmy, na takiej, a nie innej pozycji w drabinie technologiczno-ekonomicznej po to, aby zmaksymalizować szanse utrzymania niepodległości Polski oraz wzrostu ekonomicznego i cywilizacyjnego”?

I czy takie pytanie w Polsce ktokolwiek sobie zadaje? Politycy? Elity? Społeczeństwo?

To się nie rozgrywa na poziomie elit, to się rozgrywa na poziomie bardzo głębokiego systemu ekonomiczno-kulturowego, który jest odpowiedzialny za to, jakie elity są wyłaniane. Bo każdy pojedynczy człowiek gra na siebie. On patrzy na to, co ma zrobić, żeby w ramach swojej własnej hierarchii wartości uzyskać jak najlepszy rezultat w grze, zwanej „życiem”. Więc nie można winić go za to, że podjął takie, a nie inne decyzje po to, żeby zostać ministrem, profesorem, żeby zdobyć prestiż

swojego środowiska albo zgromadzić pięć miliardów dolarów. To jest jego rozgrywka.

Natomiast na poziomie społeczeństwa, kultury, państwa trzeba sobie zadać pytania: „Czy dobrze ustanowiliśmy warunki gry,



...na poziomie społeczeństwa, kultury, państwa trzeba sobie zadać pytania: „Czy dobrze ustanowiliśmy warunki gry, tak, żeby w ramach poszczególnych ścieżek kariery, ambicji, tych rozgrywek życiowych, indywidualnych, promować tych, którzy dobrze robią także nam – państwu, nam – społeczeństwu?”

tak, żeby w ramach poszczególnych ścieżek kariery, ambicji, tych rozgrywek życiowych, indywidualnych, promować tych, którzy dobrze robią także nam – państwu, nam – społeczeństwu?”. „Czy mamy dobrze ustawione warunki gry i selekcję elit?”. I na poziomie tego typu warunków trwa teraz konkurencja pomiędzy Chinami i Stanami. Bo Chiny tak sobie ustawiły te warunki, żeby cała machina merytokratyczno-ekonomiczna działała także na rzecz postępu Chin, siły ich cywilizacji, budowania ich pozycji w świecie. Ameryka się zorientowała, że ich system ustawiania warunków gry jest już nieadekwatny, i to jest ta krytyka merytokracji. Trzymamy się XIX-wiecznego sprzężenia merytokracji z demokracją liberalną, a na wyjściu nie dostajemy konkurencyjnego wobec Chin modelu, tylko dostajemy arystokratów technologii, którzy tak naprawdę rządzą z tylnego siedzenia, i mamy ogromną klasę coraz bardziej niezadowolonych ludzi, którzy widzą, że nie mogą uczestniczyć już w tym etosie, że ten etos upadł, nie ma mitu Ameryki, która zapewnia zostanie miliarderem, nie ma mitu klasy średniej – taki mit też tam istniał, z tymi domkami, ogródkami na suburbiach, z modelem 2+2, samochodem i pracą dla każdego. Tymczasem widzimy, że realna siła nabywcza zarobków ludzi, przynależących teoretycznie do klasy średniej, maleje, że struktura przypomina strukturę feudalną, kiedy mamy 99 procent biedoty, chłopstwa i 1 procent arystokracji, od której wszystko należy. I tracimy siłę przyciągającą – ten mit, dzięki któremu Ameryka przyciągała emigrantów, najzdolniejszych, którzy chcieli zrobić karierę, kształcić się – i tracimy konkurencyjność, przestajemy być wydolni jako maszyna do podejmowania decyzji politycznych, ponieważ demokracja przestaje

działać. W tym momencie nie mamy już tych stabilizatorów, tylko wszyscy są kupowani różnego rodzaju dobrami, wprost od państwa, albo rodzajem technologii manipulacyjnej, która jest coraz bardziej wyrafinowana, coraz lepiej do nas trafia, coraz bardziej gra na emocjach. I taki model jest niewłaściwy, by podjąć konkurencję z modelem chińskim.

Wobec tego musimy zmienić strukturalne warunki gry, dzięki którym nasze elity i nasza struktura prestiżu kulturowego, zwycięstwa ekonomicznego, hierarchii politycznych, prowadzi do takich, a nie innych wyborów jednostkowych, że nasze elity są wydolne i prowadzą nas w dobrym kierunku. Te warunki gry, tę strukturę trzeba teraz przeprogramować. Ale nie na poziomie Polski, Polska jest krajem peryferyjnym, to nie jest nasza gra.

I co, Polska podda się nowym regułom gry wyznaczonym przez jedną albo drugą stronę – Chiny albo Stany Zjednoczone? W dodatku przyjmujemy je nieświadomie, bo zostanie nam to podane w social mediach, reklamach i serialach TVN-u?

Z dużym opóźnieniem to do nas dojdzie. Prawdopodobnie przez jakieś pokolenie będziemy żyć mitem Ameryki z czasów, kiedy była bezkonkurencyjnym hegemonem, z czasów tego dwudziestolecia z końca zimnej wojny. Mentalnie ciągle żyjemy w tym świecie, w którym Ameryka była unipolarnym mocarstwem i ustanawiała warunki gry dla całego świata, i my ciągle jeszcze żyjemy w serialach, w których mamy tę amerykańską klasę średnią żyjącą sobie bezpiecznie w tych białych

domkach za ogrodzeniami na suburbiach. To jest mniej więcej nasz ruch w tym momencie, jeśli chodzi o społeczeństwo.

Natomiast politycy powoli, bardzo powoli budzą się do tych realiów, w których Ameryka już nie jest tym jedynym mocarstwem. Jest w ostrej konkurencji z innym modelem cywilizacyjno-ekonomicznym i zadają sobie po raz pierwszy pytania: „jak się mamy wobec tego spozycjonować w tej sytuacji?”. Ale to są przebudzenia, które się literalnie dokonują teraz, to jest dosłownie ten rok. To prezydentura Bidena, zdrada z Nord Stream 2, obecna sytuacja na wschodniej granicy Polski i to, że musimy sobie jakoś radzić sami, bo – cud nad cudy – Stany Zjednoczone nie pomogą nam zawsze i we wszystkim – to jest ta nowa sytuacja.

Ale dla społeczeństwa, dla tego typu badań socjologicznych, kiedy zadajemy milionom obywateli pytania o klasę średnią, o to, jak się samoidentyfikują, to nie ma znaczenia, bo tu mówimy o ruchach powolnych jak ruchy moreny lodowcowej. Na to trzeba naprawdę wielu lat, żeby się zmieniło powszechne wyobrażenie tego, jakie jest moje miejsce w strukturze społecznej, jak wygląda struktura społeczna, jakie są w ogóle klasy wyobrażeń o sukcesie lub przegranej w tej walce. To wszystko zależy od tego, jaką ja się nasączyłem popkulturą w latach formacyjnych, czyli głównie w dzieciństwie i latach nastoletnich, jaki jest kontekst kulturowy, w którym się obracam na co dzień, czyli tak naprawdę, kogo ja oglądam w social mediach, czyli jakie modele sukcesu mi imponują, jakie są te instagramowe sukcesy celebryckie, w których żyję. To się zmienia bardzo powoli, to nie jest tak, że możemy sobie najpierw przeprogramować wizję społeczeństwa, w którym żyją nasi obywatele. ■

Rozmawiała:

Agata Kołodziej





Aleksander Hall

Wyimaginowana klasa średnia? To o nią także walczy dziś Tusk



Estera Flieger: Z badań IBRiS wynika, że ponad 70 procent Polek i Polaków identyfikuje się z klasą średnią – niezależnie od ich realnej sytuacji ekonomicznej.

Aleksander Hall: Świadczy to o tym, że badani dobrze oceniają swoją sytuację materialną, co jest pewną nowością. W ostatnich latach bardzo wielu Polaków poczuło, że ich sytuacja materialna się poprawiła. To okres rządów PiS, więc bez wątpienia mają na to wpływ duże transfery socjalne. Ale były one możliwe dlatego, że wcześniej polska gospodarka rozwijała się bardzo szybko. W 2020 roku prof. Marcin Piątkowski wydał książkę „Europejski lider wzrostu” – udowadnia w niej, że Polska rzeczywiście była liderem wzrostu gospodarczego dzięki reformom o charakterze jednak liberalnym i rynkowym, przeprowadzonym po 1989 roku. Obóz rządzący Polską od 2016 roku korzystał z owoców pracy poprzednich rządów, które na ogół zwykle bardzo krytykuje.

W 2019 roku po raz pierwszy w badaniach CBOS proporcje się odwróciły: większość Polek i Polaków zadeklarowała, że ich gospodarstwa domowe posiadają oszczędności.

Nie jest to sprzeczne z tym, co powiedziałem wcześniej. To nie tylko subiektywne poczucie, ale realna poprawa sytuacji materialnej.

Czy – w kontekście przywołanych na początku naszej rozmowy wyników badań IBRiS – przekaz Donalda Tuska, po powrocie do polskiej polityki, jest trafiony?

Widzę w jego postawie istotną zmianę – w porównaniu z tą zajmowaną przez Platformę Obywatelską. Donald Tusk ocenił, że Platforma przesunęła się za bardzo w lewo, i stara się nadać jej bardziej centrowy charakter. Zwraca się

do wyborców zaniedbywanych do tej pory przez Platformę, a więc do Polski prowincjonalnej, która raczej w swojej większości sympatyzuje z PiS. Myślę, że to rozsądny wybór.

Zdaniem prof. Andrzeja Rycharda ludzie lubią być w centrum, bo daje im to poczucie bezpieczeństwa.



...oferta formułowana przez środowiska lewicowo-liberalne wyraźniej trafia do mniejszości.

Tak, ale jest coś jeszcze. Prawdą jest, a wynika to badań IBRiS, że światopogląd Polaków liberalizuje się, poważnie nadszarpnięty został autorytet kościoła. Ale jednocześnie polskie społeczeństwo w większości przywiązane jest do tradycyjnych i wspólnotowych wartości oraz tożsamości historycznej. Moim zdaniem oferta formułowana przez środowiska lewicowo-liberalne wyraźniej trafia do mniejszości.

IBRiS, komentując wyniki badań, słusznie zwraca uwagę na ekonomiczne przyczyny politycznego sukcesu PiS. Ale to za proste wyjaśnienie, jeśli przyjąć je za jedyne. Bo PiS – traktując te wartości instrumentalnie i w istocie dzieląc wspólnotę – odwoływało się do patriotyzmu, poczucia godności i dumy narodowej, przywiązania do tradycji, odnosząc sukces w społeczeństwie. A Platforma Obywatelska czy szerzej opozycja, a więc obóz liberalno-lewicowy, nie umiała o tych wartościach opowiedzieć. Odwoływała się do wolności osobistej, praworządności, poszanowania zasad konstytucyjnych. Ale jest jeszcze świat pewnych wartości i idei, o których kiedyś politycy Platformy Obywatelskiej potrafili mówić, a w ostatnich latach o nich zapomnieli.

Marcin Duma, szef IBRiS – wracając do poruszonego przez Pana wątku liberalizacji światopoglądu Polek i Polaków – powiązał zmianę w tym obszarze z rosnącą oceną własnej sytuacji ekonomicznej.

Byłbym bardzo ostrożny w podpisaniu się pod taką tezę, bo zakłada, że człowiek zamożniejszy, a więc mający dobre samopoczucie materialne i poczucie awansu, automatycznie przyjmuje postawy liberalne czy progresywne w kwestiach kulturowych, obyczajowych. Wydaje mi się, że nie ma to jednak mocnego zakorzenienia w empirii. Bo wśród ludzi zamożnych, odnoszących sukces są również konserwatyści.

Ponadto, mówiąc o liberalizacji światopoglądu Polek i Polaków, trzeba wziąć pod uwagę błędy popełnione przez obóz władzy, to np. tak drastyczna forma zmiany ustawy z 1993 roku, która była nazywana kompromisem aborcyjnym. Decyzję – wszystko wskazuje na to, że pod wpływem sugestii ośrodka władzy – podjął pozbawiony autorytetu i upolityczniony Trybunał

Konstytucyjny. A wydarzyło się to w warunkach pandemii, przy wysokim wzroście zachorowań i liczby zgonów. Miało to więc



...kto sieje burzę, zbiera wiatr...

charakter prowokacji. Wyrok wyprowadził na ulice ogromną grupę ludzi, w tym wielu młodych. Widzę tu więc reakcję, a bunt niekoniecznie musi przerodzić się w stały wybór. Do tego oburzenie wywołuje ujawnienie przypadków pedofilii w kościele i prób ich tuszowania. To nie musi – mam nadzieję – przełożyć się na trwały zwrot w polskim społeczeństwie, a więc kwestionowania znaczenia religii, instytucji kościoła w życiu publicznym. Ale kto sieje burzę, zbiera wiatr.

„Dzisiaj Polska jest krajem klasy średniej, gdzie zaspokajania aspiracji i oczekiwań tej grupy będzie decydować o sukcesie wyborczym” – zgadza się Pan z takim komentarzem?

Mam poważne wątpliwości. Nie wchodząc w szczegółową ocenę tak pomyślanych przez PiS transferów społecznych, pójsię w kierunku licytacji „kto da więcej”, jest moim zdaniem po prostu i niebezpieczne, i niemożliwe, bo patrząc na stan finansów państwa, inflację – a bardzo wielu ekonomistów ostrzega, że może ona rosnać i być zjawiskiem trwałym – byłoby to igranie z ogniem. Zostały, owszem, rozbudzone duże aspiracje, zachodzi jednak pytanie o możliwość ich zaspokajania. Moim zdaniem Polski nie będzie stać na to, aby tę politykę, którą PiS prowadził w latach 2016–2019, po prostu kontynuować. Bo to może nas doprowadzić do katastrofy ekonomicznej, a co za tym idzie także społecznej.

Ale czy myślenie, że Polski nie będzie na to stać, wyrażone przez ministra Rostowskiego słowami: „pieniędzy na 500 plus nie ma”, już kiedyś nie zgubiło opozycji?

Przyczyny porażki Platformy Obywatelskiej były znacznie bardziej złożone. Złożyły się na nią brak przywództwa, pewnego rodzaju demoralizacja i rozprężenia w szeregach, co pokazywała tzw. afera podsłuchowa: zarejestrowane rozmowy nie dowodzą przestępstw, ale oddają klimat „tumiwisizmu”, egoizmu. Nagranie tych rozmów było czymś nieetycznym, być może inspirowane przez służby specjalne czy politycznie przez PiS, ale pokazały rozkład obozu władzy.

Wreszcie – doszły do tego kwestie wówczas bieżące i mające ogromne znaczenie: to kryzys imigracyjny, który przecież Polski nie dotknął, ale idący do władzy PiS z nim igrał. Do tego swoją rolę odegrał czynnik, który niewielu przewidywało, a więc przegrana Bronisława Komorowskiego w wyborach prezydenckich. Był murowanym faworytem. I jego porażka uruchomiła nową dynamikę polityczną, korzystną dla PiS.

Rozmawiała: Estera Flieger ■



Małgorzata Jacyno

**Polacy wypierają, że przestają być klasą
średnią. Albo nigdy nią nie byli**



Według badań IBRiS opisanych w raporcie „Gra w klasy” ponad 72 procent Polaków uważa się za członków klasy średniej. Ale ponieważ jestem dziennikarką ekonomiczną, chciałabym na to poczucie nałożyć filtr gospodarczy pokazujący, jak bogacą się Polacy.

Statystycznie w tym roku pensja minimalna wynosi 2800 złotych brutto, dekadę temu, w 2011 roku wynosiła 1376 złotych, a w 2001 roku, a to przecież nadal jest współczesność, 760 złotych. Przeciętne wynagrodzenie dziś to 5800 złotych brutto, w 2011 roku około 3600 złotych, a w 2001 roku – 2060 złotych.

Spójrzmy jeszcze na poziom ubóstwa. W 2020 roku 5,2 procent Polaków żyło poniżej minimum egzystencji. W 2011 roku ten poziom ubóstwa wynosił 6,6 procent,

a w 2001 roku 9,5 procent Polaków żyło poniżej minimum egzystencji. Dwadzieścia lat temu dotyczyło to niemal co dziesiątego Polaka. Dziś już tylko co dwudziestego. Zatem bogacimy się i teoretycznie żyje się nam coraz lepiej.

Tymczasem opracowania socjologów pokazują, że świat zachodni przechodzi właśnie przez proces deklasacji. Klasa średnia się kurczy chyba najszybciej w Stanach Zjednoczonych, ale raport OECD z 2019 roku pokazuje, że dotyczy to całego Zachodu. Czy to znaczy, że Polska jest jakimś ewenementem i idziemy pod prąd zachodnich tendencji? A może nie należymy po prostu do Zachodu i dlatego procesy społeczne idą u nas w innym kierunku? Ale czy na pewno w innym? Pani Profesor, może tylko sami siebie okłamujemy, że nam dobrze i awansowaliśmy do klasy średniej?



Problem z pojęciem „klasa średnia” polega na tym, że jest to kategoria opisowa i analityczna, i zarazem kategoria normatywna, mówiąca nam o tym, jacy powinniśmy być, jaki jest obywatel Zachodu, na czym polega sukces. Żeby dostrzec różnicę między tymi dwoma podejściami, warto na chwilę wrócić do lat 90. Bardzo dobrze pamiętam, że w większości czasopism dosłownie codziennie można było przeczytać o tym, jak klasa średnia się ubiera, jak się odżywia, jakie prowadzi życie, w jakim jest stanie ducha, że się kolorowo ubiera, się uśmiecha itd. To bardzo dobrze pokazuje, że media odgrywały w tej kwestii rolę dyscyplinującą czy nawet musztrującą.

Zarazem klasa średnia była też kategorią tożsamościową, bardzo pożądaną, z tego powodu, że ostatecznie potwierdzała to, że w trakcie transformacji umknęliśmy losowi przegranych, dla którego taką reprezentatywną i retoryczną kategorią

tożsamościową stali się ludzie z PGR-ów. Właśnie dlatego socjologowie mówią o tym, że każda zmiana społeczna jest związana z dynamicznym nominalizmem, czyli z przyjmowaniem nowych kategorii tożsamościowych.

Jak to się może objawiać?

W taki sposób, że człowiek na nowo się definiuje. Na przykład już nie nazywa siebie chłopem, ale ma się za farmera. Tu mamy do czynienia z podobną sytuacją. Jeżeli chodzi o zamieszanie związane z tym, jak Polacy się identyfikują, dlaczego, mówiąc o sobie zazwyczaj, twierdzą, że są klasą średnią, to chciałabym zaproponować od razu – ponieważ Pani o to zapytała – że warto by się było zastanowić nad tym, czy nie można byłoby zmienić perspektywy spojrzenia na kwestię klasy średniej. I nie tyle mówić o przyrastaniu klasy średniej,

pojawianiu się klasy średniej, ile raczej pójść w nieco inną stronę. Bo przecież wiadomo, że w tej kwestii będą liczne wątpliwości. Są tacy, którzy mówią wręcz, że w zasadzie żadnej klasy średniej w Polsce nie ma. Można by było ripostować, że każde społeczeństwo ma swoją historię społeczną i swoją klasę średnią. I że my nigdy nie mieliśmy i nie będziemy mieli takiej klasy średniej, jaka występuje na przykład we Francji czy w Niemczech. Tak, to też ma sens – tyle że w takich sporach można utknąć bez żadnej konkluzji. Z tego powodu zaproponowałabym na to, co się działo ze strukturą społeczną od czasu zmiany systemowej, inne określenie, które pozwoliłoby zajrzeć w głąb kategorii klasy średniej. A mianowicie „amerykanizacja” społeczeństwa.

Co nam taka perspektywa da?

Po pierwsze, to, co nas, Polaków, różni od początku zmiany systemowej od zachodnioeuropejskiej klasy średniej, to przywiązanie do własności. Chodzi przede wszystkim o mieszkanie. Te proporcje są u nas od początku zupełnie inne niż na zachodzie Europy. Podobnie zresztą jak aspiracje w tym zakresie, bo mieć własne mieszkanie to jest naszym życiowym celem. Następnie grodzone osiedla, to jest też coś, co nas wyróżnia od początku w porównaniu z zachodnią klasą



**...ten, kto „nie ma czasu”, to
w wyobraźni zbiorowej Polaków ktoś,
kto należy do wygranych, bądź też
ma duże szanse, że do nich dołączy.**

średnią. Trzecia rzecz – w latach 90. pojawia się moda na mówienie „nie mam czasu”, co stało się wówczas wyróżnikiem klasy średniej. Doktor Ewa Grzeszczyk robiła na ten temat badania, są one trochę zapomniane, z których wynikało, że ten, kto „nie ma czasu”, to w wyobraźni zbiorowej Polaków ktoś, kto należy do wygranych, bądź też ma duże szanse, że do nich dołączy. Oczywiście w przeciwieństwie do przysłowiowych ludzi z PGR-ów, którzy mają tego czasu nieskończoną ilość – i na tym właśnie miała polegać ich bieda.

Dziś to wygląda na spore nieporozumienie, wszyscy chcemy mieć czas na przyjemności, taki tylko dla siebie.

Bo „nie mieć czasu” to jest coś charakterystycznego dla klasy robotniczej, dla proletariatu. Klasy ludowe „nie mają czasu”. Jeżeli zajrzemy do zachodnich analiz, nawet jeśli te ujęcia bardzo się różnią – jak ujęcia Jacquesa Rancière’a czy Pierre’a Bourdieu – to tym, co wyróżnia klasę ludową, jest bardzo często to, że na wiele pytań o egzystencjalnym wręcz charakterze jej przedstawiciele odpowiadają „roboty nie poczeka”, „nie mam czasu”. Zostaje im więc reprodukcja sił

biologicznych, ponieważ wysiłek związany z przetrwaniem dosłownie pożera całe ich życie.

Następnie to, co jest charakterystyczne dla Polski, to, co znowu uzasadnia konieczność przyjrzenia się kategorii klasy średniej przez ten proces „amerykanizacji” świata zachodniego, to „państwofobia” – czyli przekonanie, że zawsze trzeba polegać przede wszystkim na sobie.

I wreszcie użyłabym określenia, które pojawia się w tej chwili w socjologii zachodniej – a mianowicie „smak na nierówność”. To jest kolejna kwestia, która od lat 90. odróżnia polską klasę średnią od zachodniej. Nastawienie tej ostatniej wobec innych klas jest, a w każdym razie było, o wiele bardziej pokojowe. Zachodnią klasę średnią, a przynajmniej jej pewne frakcje, cechuje stabilna sytuacja życiowa, dzięki czemu w rozmaitych debatach nie jest agresywna. Nie jest więc rasistowska, nie jest też klasistowska. I to jest to, czego u nas absolutnie nie było i nie ma.

Niektórzy badacze mówią, że klasa średnia po prostu ma kapitał kulturowy, którego wartości jest pewna. Więc nie musi się bać swojej deklaskacji, degradacji, ale też jej kompetencje kulturowe w dużej mierze polegają na umiejętności robienia „dobrego wrażenia”. Więc nawet jeżeli jest ten lęk i niepokój o pozycję społeczną, to nie jest on tak intensywnie wyrażany. Nie trzeba się grodzić – nie tylko na osiedlu, ale nie trzeba się grodzić też w języku, sposobie mówienia, widzenia innych ludzi.

Z klasą średnią jest dziś problem także na Zachodzie.

Spółeczeństwa klasy średniej były pomyślane jako społeczeństwa, w których znikają konflikty, bo klasa średnia się rozrasta i stanowi – jak Pani powiedziała – 70 procent społeczeństwa, czyli dwie trzecie. Przed 1989 rokiem w krajach zachodnich przysłowiowe „dwie trzecie” były argumentem, który miał ostatecznie rozstrzygać wszystkie debaty na temat tego, czy jest dobrze, czy źle. Ktoś w końcu zawsze mówił w takiej debacie „ale dwie trzecie” – i chodziło o dwie trzecie tych, którzy czują się stabilni, którzy mogą czuć się zadowoleni z tego, co w życiu osiągnęli, i że mogą coś przekazać dzieciom.

Od lat 70. kwestie klasowe w gruncie rzeczy zeszły na plan drugi. Niemniej w Hiszpanii, we Francji, we Włoszech od dwóch dekad mówi się o nierównościach klasowych, tymczasem w Polsce dopiero od niedawna pojawiło się pojęcie klasy ludowej, przy czym niektórzy jeszcze uważają, że potrzebne jest jakieś dyplomatyczne zastrzeżenie, żeby tego określenia w ogóle użyć.

Bo to źle brzmi, tak jak w ogóle określenie „klasa” w Polsce źle brzmi.

Tak. Weźmy powszechne wśród polskich badaczy społeczeństwa reakcje na przykład na teorie jednego z autorów cieszących się największą popularnością, jeżeli chodzi o teorię klas – Pierre’a Bourdieu: „ale to jest takie deterministyczne”. Widzimy, jak przeplatają się tu zamiary analityczne

z normatywnością. „Może ja bym to wziął pod uwagę, co niektórzy piszą o tym, jak pochodzenie klasowe determinuje możliwości człowieka, warto pisać o nierównościach klasowych, o tym jak bardzo mogą być bolesne, no ale jeśli ta teoria nie daje nam pocieszenia, nie przysparza optymizmu, to muszę ją odrzucić”. To nie jest kryterium! Na tej samej zasadzie można odrzucać np. grawitację. „Może to trafny opis, no ale z tego wynikają rozmaite ograniczenia, więc wybiorę sobie inny pogląd na świat”. Problematyczne jest, wg mnie to, czy my w Polsce mówimy, zaczęliśmy rozmawiać o klasach. Znamy z seriali doktora House’a i doktora Lubicza. Jeden i drugi jest lekarzem, no ale teraz spróbujmy napisać wspólny dla nich scenariusz, spróbujmy ich zmieścić w jednym serialu.

Karkołomne.

Więc jeżeli ktoś mówi o klasach – to nawet nie wiadomo, co w istocie ma na myśli. Według mnie w Polsce mówimy w tej chwili o klasach niemal wyłącznie w perspektywie tożsamościowej. To znaczy: mamy różne mniejszości, które czasami zresztą wcale nie są mniejszościami, np. kobiety, mniejszości seksualne, mniejszości etniczne, klasę ludową itd. To pokazuje, że mamy wizję horyzontalnego świata, rejestrującą istnienie różnych tożsamości, natomiast nie jest to perspektywa antagonizmów i nierówności. Takie podejście jest rozpoznańczone i nie pozwala nam w istocie zająć się nierównościami w debatach publicznych.

Dzisiaj klasa średnia w Polsce (i nie tylko w Polsce) marzy o tym, żeby dziecko miało pracę w tzw. sektorze innowacyjnym, a więc polegającym na tworzeniu algorytmów. Algorytmy m.in. służą dyscyplinowaniu ludzi w pracy i oceniają ich wydajność. Klasa średnia boi się bardzo, że proces edukacji zakończy się porażką i dziecko nie będzie projektowało algorytmów, za to będzie pracowało w centrum logistycznym, gdzie klasa średnia, ta, której się powiedzie, będzie je eksploatowała za pomocą stworzonych przez wygranych algorytmów.

Pani Profesor, ja w ogóle mam cały czas takie wrażenie, że wszystkie cechy, które Pani opisuje i przypisuje polskiej klasie średniej, obracają się przeciwko niej. Weźmy na przykład przywiązanie do własności. Przecież znacznie łatwiej jest mieć wynajęty dach nad głową w Berlinie, gdzie przywiązanie do własności nie jest tak silne, za pieniądze, które nie zabierają większości moich przychodów, niż w Polsce, gdzie wszyscy potrzebują mieć na własność.

To akurat już się zmieniło. Zmieniło się w Berlinie, zmieniło się w Paryżu. Wszyscy chcą mieć na własność mieszkanie. To nie jest przypadek, a jeszcze jedna kwestia, która pokazuje dystans między Polską a krajami zachodnimi. Znamienne jest to, że w swych projektach reformy kapitalizmu Thomas Piketty mówi o tym, żeby na starcie każdy młody człowiek dostał 120 tysięcy euro. Bo nierówności rosną, nie ma równych szans. Co zatem zrobić, żeby te szanse wyrównać? Piketty jest jednym z tych autorów, których na Zachodzie uważa się za ludzi obmyślających uporczywą terapię tej postaci kapitalizmu, z jaką obecnie mamy do czynienia. Ale w Polsce jest

socjalistą czy wręcz komunistą. Nie mówimy o zmianach, jakie zaszły w 2020 roku ani w 2021 roku, czyli w czasie pandemii. I nie jest prawdą to, że zachodnia klasa średnia z dużym kapitałem kulturowym nie ma problemów z mieszkaniem. Ceny wynajmu tak rosną, że rzeczywiście ta alternatywa: wynajmować czy kupować przestaje być alternatywą. Lepiej mieć własność. Właśnie dlatego Piketty’emu zarzuca się, że jego pomysł przede wszystkim wzmocni aktualne tendencje, jak na przykład wzrost cen mieszkań. Jeszcze przed pandemią w Paryżu i w innych dużych miastach europejskich bardzo rosły ceny wynajmu.

Tak więc niby świat się bogaci, ale lista problemów zwykłego człowieka się wydłuża zamiast kurczyć. I Zachód zaczyna borykać się z problemami podobnymi do peryferyjnego jednak kraju, jakim jesteśmy my. A chyba nam się wydawało, że to Polska wspina się, zbliżając do Zachodu, a nie Zachód spada, zbliżając się w ten sposób do Polski.

W kwestii mieszkaniowej, która przecież jest podstawową kwestią bytową, na pewno. Do pewnego stopnia cały konflikt pomiędzy centrum a peryferiami zorganizowany jest właśnie wokół kwestii mieszkania, dojeżdżania do pracy i mobilności. W związku ze wzrostem kosztów najmu i brakiem mieszkań odbyły się niedawno demonstracje w Holandii i w Niemczech. We Francji w 2018 roku badania wśród boho, czyli współczesnej bohemy miejskiej – którą wyróżnia duży kapitał kulturowy, natomiast mniejszy finansowy, pokazały, że w tej frakcji klasy średniej 80 procent rozważa opuszczenie Paryża w związku ze wzrostem cen wynajmu czy zakupu mieszkania.

Czy możemy się w takim razie zgodzić co do tego, że takie silne przywiązanie do własności, które uważamy za naturalne, wręcz przyrodzone, ostatecznie nam szkodzi?

Silne przywiązanie do własności bierze się ze zmiany funkcji państwa, przebudowy państwa. I z tego, co wcześniej nazywałam „państwofobią”. Tylko, że Francja, Niemcy czy Holandia mają od czego odchodzić, a mianowicie od państwa dobrobytu, natomiast u nas pewne procesy, które nazywam amerykanizacją, rozpoczęły się od razu. Własność w Polsce jest jedynym zabezpieczeniem. Mieszkanie, także jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, staje się zabezpieczeniem na wypadek choroby. Mieszkanie czy dom to jest coś, co można sprzedać, żeby zapłacić rachunek za ubezpieczenie zdrowotne czy operację w szpitalu. Więc kiedy słyszę o różnych badaniach przeprowadzanych w Polsce – co ludzie myślą o usługach publicznych, co zlikwidować, co zostawić, w którym kierunku to ma iść – to zadałabym inne pytanie, jeśli chodzi o ochronę zdrowia: „czy jesteś w stanie zapłacić 100 tysięcy za pomoc medyczną, jeśli ulegniesz wypadkowi rowerowemu na ulicy?”. I niech ludzie odpowiadają: „tak, to nie jest żaden problem”.

Ależ w Polsce każdy się oburzy, bo mamy przecież publiczną służbę zdrowia...

...ale wiele osób, także elektorat lewicy – być może zwłaszcza on – chce prywatyzacji usług publicznych.

To jest właściwie problem hipokryzji...

Niektórzy mówią, że młodzi ludzie uważają się za niezniszczalnych. Nie, to jest nieprawda, bo są takie kategorie dolegliwości zdrowotnych, które są związane właśnie z młodością. Na przykład wypadek na nartach czy na rowerze – tu koszty leczenia mogą być naprawdę znaczne. Kiedy więc chcemy się dowiedzieć, czy człowiek czuje się stabilny czy prekarny i na ile są mu potrzebne usługi publiczne, z których wzięła się zachodnia klasa średnia, to powinniśmy pytać właśnie o te 100 tysięcy złotych za opiekę medyczną po wypadku rowerowym. I wziąć pod uwagę następujące odpowiedzi: a) nie jest to dla mnie żaden problem; b) wezmę kredyt c) rodzice mi zapłacą; d) nie jest to problem, bo będę zawsze miał ubezpieczenie, bo zawsze będę miał pracę. Według mnie, to jest to pytanie, które pozwoliłoby właściwie ocenić, czy Polacy chcą usług publicznych, które to usługi publiczne stały się tym bezpiecznym środowiskiem budowania zachodniej klasy średniej. Natomiast dla nas nieruchomości jest po prostu lokatą i zabezpieczeniem. Tak jak niektórzy odkładają na czarną godzinę, tak dla wielu osób zakup mieszkania – nie mówię, że drugiego, trzeciego na wynajem – to są też pieniądze na czarną godzinę, czyli na emeryturę, której też nie można być pewnym. Mimo pandemii, a może właśnie z jej powodu, widoczne dziś procesy zmierzają ku prywatyzacji ochrony zdrowia oraz edukacji..

Pozwoli Pani Profesor, że podsumuję: w Polsce mamy problemy z publicznym systemem ochrony zdrowia, edukacją i rynkiem mieszkaniowym. Tym samym jesteśmy w sytuacji, w której żaden z trzech filarów budujących zachodnią klasę średnią u nas za dobrze nie działa i chyba nigdy za dobrze nie działał. Czy nie znaczy to, że być może w ogóle nie mamy w Polsce klasy średniej, bo nie miało jej co zbudować?



Mamy klasę średnią, ale taką, która jest budowana w krajach peryferyjnych i postkolonialnych.

Mamy klasę średnią, ale taką, która jest budowana w krajach peryferyjnych i postkolonialnych. To nie jest klasa średnia typowa dla centrum. Proszę zobaczyć, jak odmiennie reagują społeczeństwa w centrum kulturowym Zachodu, które – jak Pani zauważyła – też jest obecnie niestabilne społecznie. W Norwegii w tym roku wygrała lewica i wystarczył do tego jeden argument: „nie będę brał dodatkowych prac, dodatkowych zajęć tylko po to, aby wyleczyć zęby”. Wystarczyło tylko to.

Tymczasem u nas – bardzo dobrze pamiętam debaty medialne w latach 90. – była niesłychana presja na to, jak się

ubierać, jak wyglądać, jak o siebie dbać, a pomoc państwa, mam tutaj na myśli instytucje, topniała z dnia na dzień. Proszę zobaczyć, w jednym kraju wystarczy zrobić kampanię polityczną i wygrać wybory, przychodząc do studia nie ze sztucznym penisem, ale ze szczoteczką do zębów – a w Polsce mamy wymuszoną przedsiębiorczość.

Co to jest „wymuszona przedsiębiorczość”?

Taka, która stała się kwestią moralności i racji bytu wszędzie tam, gdzie ukrywano przemoc, ale także eksploatację. Bardzo łatwo jest ukrywać pewien rodzaj eksploatacji klasy ludowej. Mówimy o ludziach, którzy pracują fizycznie, którym prędejsz niszczą się kręgosłupy, którzy muszą się po prostu inaczej odżywiać, bo wykonują inny rodzaj pracy. Klasy ludowe wyróżnia to, że nawet wtedy, kiedy państwo zapewnia im czy to edukację, czy ochronę zdrowia na dobrym poziomie – jak to miało miejsce na Zachodzie jeszcze w latach 70., 80., nawet 90. – to są to klasy wciąż znajdujące się najbliżej XIX-wiecznych form eksploatacji. To jest naprawdę zawsze bardzo ciężka praca. Także w latach 70., we francuskim bistro, w którym spotykają się robotnicy przed pracą bądź po pracy, to miejsce, gdzie pokazuje się opuchnięte, poranione ręce, opowiada o historii zaproszonego oka, o tym, kiedy będzie można zdjąć bandaż. Ci ludzie ciągle pokazują sobie swoje ciało.

Natomiast w Polsce zmiana systemowa przykryła fakt, że mamy w dalszym ciągu ludzi, którzy w zasadzie powinni pracować na etatach, być może nawet państwowych, a zamiast tego prowadzą jednoosobową działalność gospodarczą i fakt ich eksploatacji jest zakrywany przez samoeksploatację. Nic się nie zmienia w tej kwestii. Kiedy rozmawiam z przedsiębiorcami, zawsze pojawia się ten problem – samoeksploatacji, niepewności i niestabilności. Przedsiębiorcy to jest zresztą kategoria wyjątkowo zróżnicowana... Samoeksploatacja: mało snu, dużo pracy, a jeszcze do tego to, co się próbuje nazywać i jednocześnie zakamuflować, czyli tzw. kultura organizacji, a dokładnie rzecz ujmując jej brak. Brak kultury organizacji czy niska kultura organizacji, to tak naprawdę codzienna przemoc i agresja, fakt, że nie ma w Polsce demokracji na poziomie relacji pracy, że tak dużo zależy od szefa, szarych eminencji, rozmaitych nieformalnych struktur.

A więc przedsiębiorczość jest problemem polskiej klasy średniej?

Oczywiście, że tak. Wiele razy intelektualiści i komentatorzy zmierzający do jakiejś uniwersalnej, a jednocześnie obiektywnej diagnozy polskiego społeczeństwa dochodzili czy też raczej wychodzili z takiego oto przekonania: „no, nie ma w Polsce kapitału społecznego”. Nie ma kapitału społecznego, bo żeby był kapitał społeczny, ludzie muszą, po pierwsze, mieć czas, a po drugie, nie mogą być tak bardzo uwikłani w walki związane z samym przetrwaniem. Z biologicznym bez mała przetrwaniem. Dlatego, kiedy słyszę np. o dochodzie podstawowym i prowadzonych w tej kwestii eksperymentach, to jest to dla mnie kolejna rzecz, która pokazuje różnicę między naszym społeczeństwem a społeczeństwami zachodnimi.

Dochód podstawowy to jest idea charakterystyczna dla socjalizmu mieszczańskiego, natomiast uznanie pracy i docenienie pracy to jest postulat, wizja, ideał socjalizmu ludowego. „W końcu uznajcie, że ja coś robię, że moja praca czemuś służy, że ja nie leżę do góry brzuchem. Nie oglądam całymi dniami telewizji, to nie jest prawda”.

Dla zachodniej klasy średniej dochód podstawowy oznacza więcej czasu, żeby o tym Piketty'emu sobie porozmawiać, czy jest głupi, czy jest mądry, czy kapitalizm, czy socjalizm, i żeby go w ogóle przeczytać. Bo cóż to jest za wyjaśnienie, że my, Polacy fatalnie wypadamy, jeśli chodzi o statystyki czytelnictwa. I to od lat. Oczywiście można mówić o lenistwie intelektualnym, można mówić wręcz o wtórnym analfabetyzmie, ale to nie jest wyjaśnienie problemu. Trzeba mieć czas, trzeba mieć pewną swobodę, żeby przeczytać te 1241 stron – i to jest właśnie to, czego klasie średniej brakuje. Czas!

W Polsce też powinniśmy przeprowadzić eksperyment z dochodem podstawowym. I ręczę, że wyniki byłyby tak dwuznaczne, że długo byśmy musieli sobie wyjaśniać, dlaczego aż tak bardzo różnimy się od innych społeczeństw. Bo żeby dochód podstawowy działał, czyli żeby dał człowiekowi poczucie bezpieczeństwa, poczucie, że, jeżeli u niego w pracy jest niska kultura organizacji, to może poszukać innej, żeby w ogóle skorzystać z dochodu podstawowego, trzeba mieć lekarza i transport publiczny. Bo jeżeli ktoś go otrzyma w miejscowości, w której nie ma transportu publicznego, to jaką może wykazać aktywność, jakie zaangażowanie w cokolwiek? Gdzieś na peryferiach, prawdopodobnie do tego jeszcze schorowany człowiek i tak nie bardzo może uczestniczyć w tych przedsięwzięciach, które nazywa się budowaniem kapitału społecznego. Dostanie dochód podstawowy i będzie się imał jakichś zajęć dorywczych. A to popilnuje działki, a to czegoś nazbiera i tak dalej. Myślę, że to jest właśnie najlepszy test, który pokazałby tę różnicę, że jesteśmy innym społeczeństwem niż społeczeństwa Zachodu. Dziś jednak, jak już powiedziałam, tamte społeczeństwa nas doganiają...

...czyli równają w dół...

...zdecydowanie i jeśli miałabym wskazać moment, w którym zaczęło to być wyraźnie widać, to była to druga połowa lat 90.

Dobrze, ale w którą stronę zmierzamy my, Polacy? Czy już aż tak stabilnie się urządziliśmy w stanie, który właściwie trwa od 30 lat, i w którym w gruncie rzeczy niewiele się zmienia, jeśli chodzi o kategorie społeczne i klasowe, że nie chcemy wcale żadnej zmiany? Właściwie jest nieźle, Zachód spada, a my nie. Cały świat się degraduje społecznie, a my sobie tkwimy w jednym miejscu. Może to rzeczywiście nie tak źle i nie ma co zbyt wiele oczekiwać?

Polska klasa średnia też się degraduje. Przypominam hasła, z jakimi wygrywała w Polsce prawica czy neokonserwatyści. Polska solidarna versus Polska liberalna – kandydat w pierwszych wolnych wyborach prezydenckich Stanisław Tymiński też był tego oznaką. Głosy oddane na formacje polityczne czy na kandydatów mrozących krew w żyłach to

są czasem głosy protestu. Głos wyborcy często nie oznacza wcale poparcia dla danej partii, ale odwet wobec innej partii. Francuscy robotnicy niegdyś głosowali na partię komunistyczną, ale to nie znaczyło, że oni chcieli komunizmu. W taki sposób wyrażali swój protest, niezgodę. Obecnie prawie wszędzie widzimy niepokojące rzeczy, niepokojące formacje polityczne, niepokojące głosy, wzrasta też debata publiczna, jej temperatura stale rośnie. Nie powiedziałabym też, że w Polsce proces zmian systemowych się zatrzymał. Przeciwnie, jeżeli przyjrzy się Pani sektorowi publicznemu, to on się degradowa.

Ale czy Polacy nie są z tym zwyczajnie pogodzeni?

Myślę, że częściowo są. I to jest pytanie, które trafia w serce tego, co się w Polsce dzieje. Myślę, że tym, co określa w tej chwili dynamikę życia społecznego, jest wypieranie przez klasę średnią tego, że przestaje być klasą średnią. Bądź wypieranie tego, że tak naprawdę nigdy nie była klasą średnią. Tracić tożsamość to jest tak, jak tracić życie. My naprawdę nie jesteśmy tylko mięsem, nawet jeśli to nasze życie emocjonalne czy duchowe, jakkolwiek je nazwać, jest epifenomenem. Nauki ścisłe zajmuje śmierć biologiczna, nauki społeczne zajmują śmierć społeczną i różne sposoby umierania społecznego. Tą strukturą społeczną, która się rysuje gdzieś na horyzoncie – i która jest przyczyną aktualnego wzmożenia – jest strukturą bez klasy średniej. Będzie można niejako charakteryzować się na klasę średnią, ale na tym koniec. To struktura, w której zobaczymy od 1 do 3 procent uprzywilejowanych – i 97 procent ludzi, którzy po prostu dryfują, natomiast ich pozycja nie będzie w żaden sposób stabilna. Ciekawe jest więc to, jak długo zechcą się nazywać klasą średnią.

Czy to, że my wypieramy to powolne społeczne umieranie, może obronić nas przed frustracją, która wyprowadziłaby nas z krzykiem na ulice? Czy dokładnie przeciwnie, emocje będą się po cichu kumulować, aż eksplodujemy?

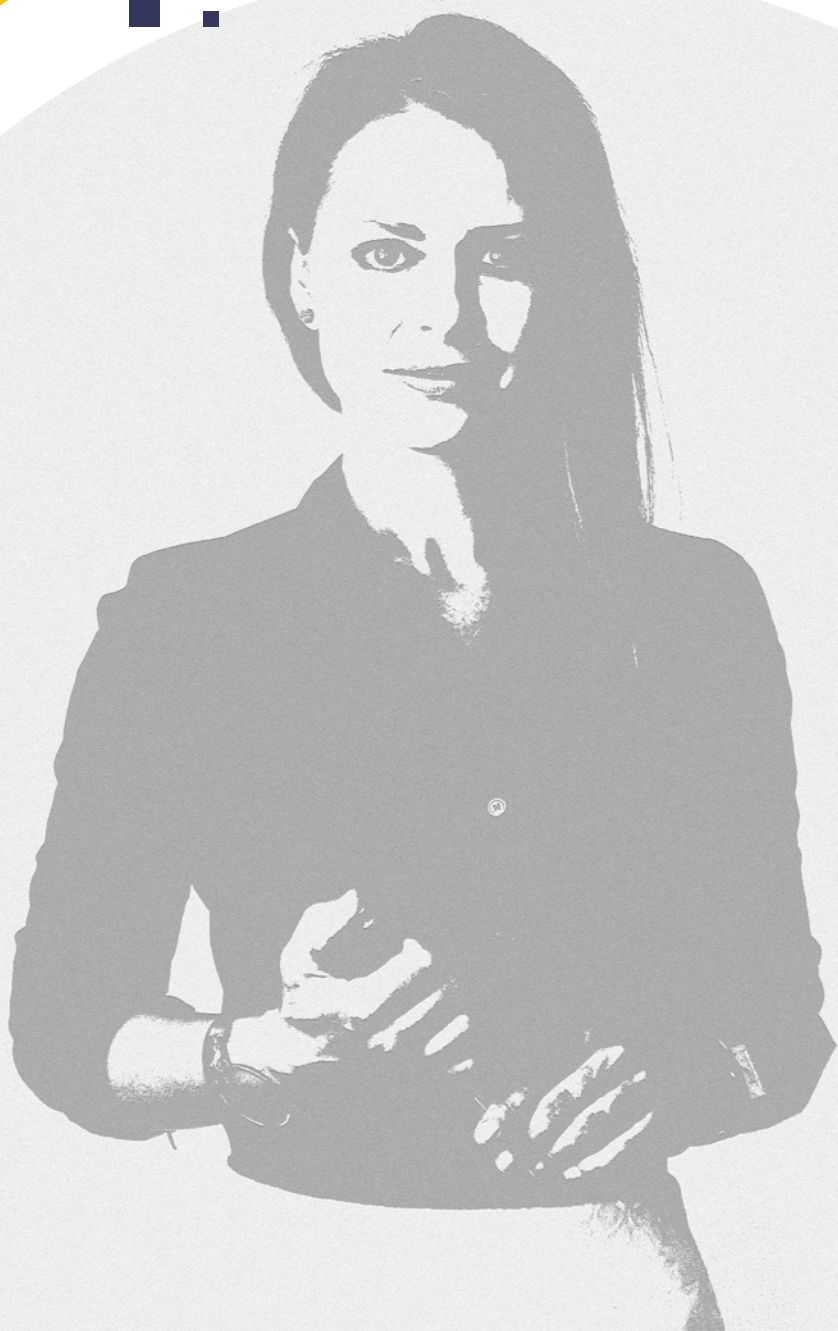
...społeczna eksplozja nie oznacza konieczności wymuszenia zmiany.

Trudno powiedzieć, bo społeczna eksplozja nie oznacza konieczności wymuszenia zmiany. Myślę, że jeśli chodzi o społeczeństwo polskie, trzeba wziąć pod uwagę jego peryferyjność. To nie jest żaden zarzut, po prostu jesteśmy peryferyjną częścią Europy. Prawdopodobnie jest w nas takie oczekiwanie, że Unia Europejska to załatwi, przy czym, kiedy mówimy „Unia Europejska”, to jest bardzo możliwe, że mamy na myśli także waleczność i niezgodę społeczeństw europejskich.

Myślę też, że w tej chwili jesteśmy w momencie rozrachunku. Przedsmak tego, jaka będzie przyszłość, czujemy na języku

właśnie w czasie pandemii. Widzę w mediach, także w mediach społecznościowych, jak komentuje się protesty w innych krajach. I zazwyczaj jest duża rezerwa, nie ma żadnej solidarności z innymi społeczeństwami. Chętniej solidaryzujemy się z przywódcami krajów europejskich i współczujemy im z tego powodu, że mają do czynienia z niewdzięcznymi społeczeństwami. Dlaczego Niemcy protestują? Mają za mało mieszkań, do tego wzrosły ceny czynszu, więc teraz się burzą, bo będą musieli 25 procent swego wynagrodzenia przeznaczyć na mieszkanie. A co to dla nas za problem?

Odczuwamy trochę żalu czy zazdrości, że są społeczeństwa, które można wyprowadzić z równowagi tym, że nie mogą już w ciągu tygodnia pójść do dentysty – oczywiście mam na myśli leczenie publiczne. A jednocześnie są społeczeństwa, którym można trzy dekady mówić: „powolutku, powolutku, dorabiamy się”. Dziś zaś widzimy, że mamy, po pierwsze, zniszczone, osłabione i wypychane z klasy średniej rzesze pracowników sektora publicznego, po drugie, zniszczone środowisko, a po trzecie, żadnej żywej debaty o dobru wspólnym i o tym, jakie są nasze potrzeby. ■



Rozmawiała:
Agata Kołodziej



Andrzej Leder

**Chaos i katastrofa – to one stworzyły
polską klasę średnią**



Agata Kołodziej: W książce „Prześlona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej”, nominowanej w 2015 r. do Nagrody Literackiej Nike pisze Pan, że w Polsce, w latach 1939–1956, dokonała się rewolucja społeczna, tylko Polacy o tym nie wiedzą, nie uświadomili sobie jej, przespali ją, jak mówi tytuł. Byli wobec niej bierni, byli przedmiotem, a nie podmiotem. Ta rewolucja została przeprowadzona rękami innych, dokonał jej ktoś z zewnątrz, a nie my sami. Ona wydarzyła się najpierw podczas okupacji hitlerowskiej i zagłady Żydów, a potem podczas komunistycznych reform struktury własności – również wprowadzanych przez siły wobec polskiego społeczeństwa obce, zewnętrzne. Jaki to ma skutek z punktu widzenia struktury społecznej i polskiej klasy średniej?

Andrzej Leder: Można powiedzieć o skutkach tych wydarzeń, które Pani streściła, jak gdyby w dwóch sferach. W sferze

faktycznej, tzn. tego, co stosunkowo łatwo daje się badać, opisywać za pomocą narzędzi socjologii czy ekonomii. I w sferze świadomości, wyobraźni, narracji, tego wszystkiego, co określamy jako imaginarium społeczne.

W pierwszej sferze efektem tej rewolucji było ostateczne złamanie, rozbicie stanowej struktury polskiego społeczeństwa, które realnie istniało do 1939 roku. Można powiedzieć, że Polska żyła właściwie w czymś, co francuscy badacze ze szkoły roczników „Annales” nazwali „przedłużonym średniowieczem”, tzn. taką sytuacją, że niby jesteśmy nowoczesnym krajem, polska konstytucja była przecież jedną z najnowocześniejszych – mówię oczywiście o marcowej w okresie międzywojennym – a jednocześnie struktura społeczna jest w gruncie rzeczy wówczas jeszcze przednowoczesna, archaiczna. Ta przednowoczesna struktura społeczna oznaczała przede wszystkim głęboki podział



na ziemiaństwo, inteligencję, która w zasadzie dostarczała kadr, tworzyła korpus klasy urzędniczo-wojskowej, która rządziła Polską razem z Kościołem katolickim. Drugi element to chłopstwo, bowiem 70 procent ludności Polski to byli w 1939 roku chłopci. I trzeci element to Żydzi, którzy tworzyli w gruncie rzeczy warstwę mieszczańską, szczególnie w centralnej, południowej i wschodniej Polsce. Jak wiadomo, w tym rejonie 60 do 80 procent małych miast stanowili Żydzi i oni w dużym stopniu monopolizowali drobną produkcję, drobny handel, zresztą antagonizując głęboko etnicznie polską ludność.

I ta sytuacja nie zmieniała się mimo mnóstwa historycznych wydarzeń w międzyczasie. Dopiero wejście do Polski dwóch totalitaryzmów, najpierw hitlerowskich Niemiec, które dokonały zagłady Żydów i po prostu zlikwidowały to liczne żydowskie drobnomieszczaństwo, w ogóle zlikwidowały Żydów,

wymordowując ich, spowodowało otwarcie takiej przestrzeni do zmiany struktury społecznej. I w czysto materialnym sensie – bo te domy i dobra, które Żydzi posiadali, zostały przejęte przez ich polskich sąsiadów – i w społecznym sensie, bo jeżeli gdzieś działał wcześniej żydowski szewc albo krawiec, to po zagładzie pojawił się na jego miejsce polski.

A potem weszła jeszcze Armia Czerwona i i polscy komuniści...

... którzy również dokonali ogromnej rewolucji i zmiany w postaci reformy rolnej. Opierając się na chłopach, przejęli władzę polityczną, dając w zamian chłopom ziemię. I łamiąc hegemonię ziemiaństwa. Potem właściwie dokonała się urbanizacja, tzn. przeniesienie bardzo wielu ludzi do miast, przeniesienie ich na tereny zabrane Niemcom. I to wszystko spowodowało,

że w 1956 roku struktura społeczna Polski była kompletnie przeorana, tzn. tak naprawdę z jednej strony 50 procent ludzi już mieszkało w miastach, była dość duża i silna przemysłowa klasa robotnicza, a naprzeciwko niej był właściwie aparat partyjny i aparat bezpieczeństwa, które wywodziły się w ogromnym stopniu z awansu społecznego.

I tu przechodzimy do tego drugiego momentu, tzn. kwestii świadomości, bo z tego awansu właśnie wyłoniła się Polska, która nie chce pamiętać tak pisanej swojej genealogii. Nie chce pamiętać ani tego momentu, kiedy wchodziła na miejsce wymordowanych Żydów, ani tego momentu, kiedy korzystała na unicestwieniu hegemonii ziemian, inteligencji przedwojennej itd.

Nie chce pamiętać, bo wypiera traumy?

Przede wszystkim wypiera pewien rodzaj nie do końca uświadomionej winy. Jeżeli ktoś wydał np. właściciela warsztatu żydowskiego, w którym pracował i potem przejął ten warsztat – a jest to bardzo typowa historia w Polsce – to oczywiście nie czuje się najlepiej z tym faktem. I w związku z tym tę winę może egzorcyzmować albo przez antysemityzm, który zresztą po wojnie był bardzo nasilony w Polsce, albo przez przemilczenie, ciągle odwracanie uwagi od tego rodzaju faktów. I te rodzaje reakcji, i jeden i drugi, w Polsce powojennej były dość powszechne i w pewnym sensie przekazuje się je przez pokolenia. Jeżeli się milczało na pewne tematy w domu, to następne pokolenia też mają tendencję do milczenia. I w kwestii Żydów, i w kwestii awansu związanego z rewolucją komunistyczną. W związku z tym bardzo wielu ludzi po prostu niechętnie sięga do genealogii, do źródeł swoich współczesnych możliwości, a w związku z tym często legitymizuje swoją pozycję przez jakieś kompletnie wymyślone historie, dotyczące na przykład przodków z Kresów, którzy byli ziemianami. Ta moda, która trwała jeszcze w latach 90. i na początku

dwutysięcznych, wyszukiwania sobie szlacheckiej genealogii i budowania dworków, była tego bardzo dobrym przykładem.

Drugą modą jest uwielbione przez Polaków w pewnym momencie sushi. Stało się ono w Polsce po prostu próbą udawania, że w ogóle nie jesteśmy stąd, że przynależymy do jakiejś światowej elity, która niezależnie od tego, czy jest z Londynu, Paryża czy Warszawy, chodzi na sushi i jeździ na narty w Alpy.

Kryzysy ostatnich lat trochę naruszyły dobre samopoczucie obu tych strategii. Pierwsza z nich, czyli taka swojskość, swojactwo, wyraźnie jest aktualnie w przewadze politycznej. Nie zmienia to faktu, że w gruncie rzeczy polska klasa średnia, nie chcąc skonfrontować się ze swoją genealogią, nadal, mniej lub bardziej, stosuje jedną z tych dwóch strategii.

Zatem uniki. Jakie to ma dziś skutki dla polskiego społeczeństwa?

Ten brak uznania dla XX-wiecznej w gruncie rzeczy historii Polski powoduje, że wyobrażenie na swój własny temat jest bardzo często oderwane od realiów, a to znowu oznacza, że nie bierze się odpowiedzialności za wspólnotę, w której się żyje, za los społeczeństwa. Podam przykład, który jest moim zdaniem znamienity: ogromna część tej wielkomiejskiej elity, niezależnie od przywiązania do swojej aktualnej sytuacji, myśli o swoich dzieciach wyłącznie w kategoriach: żeby one studiowały w Londynie albo w Nowym Jorku, albo jeszcze gdzie indziej. I żeby tam zostały. To oznacza, że nie ma kompletnie jakiegось identyfikacji ze wspólnotą, w której się funkcjonuje. I zupełnie nie chodzi mi tutaj o jakieś wzmacnianie mitu narodowego, ale o realne rozpoznanie swojego miejsca na świecie. Wydaje się, że odcięcie od przeszłości powoduje, że to rozpoznanie jest bardzo słabe, a w Polsce bardzo rozpowszechniona jest ideologia toksycznego indywidualizmu. I jedynie, co właściwie ją kontruje, to ten dworkowo-tępawy nacjonalizm, który jest odrażający. Nie ma tutaj niczego, co byłoby innym sposobem myślenia, brak jakiegось wspólnej tożsamości.

Co z perspektywy psychoterapeuty ten toksyczny indywidualizm, jak Pan Profesor to nazwał, robi pojedynczemu człowiekowi, który jest elementem społeczeństwa, elementem klasy średniej? Co takiemu człowiekowi robi poznanie i uświadomienie sobie swojej historii?

Zastanówmy się, co to w ogóle znaczy „mieszkać w domu”? Zwykle każdy dom ma swoją historię, legendę, na przykład taką, że dziadek pojechał do Ameryki i wrócił z dolarami, za które zbudował dom. Albo dorobiliśmy się na owczym serze i dzięki temu mogliśmy ten dom zbudować. Krótko mówiąc, historia domu to też historia budowania pewnej tożsamości. Wyparcie tej wiedzy powoduje pewien rodzaj zażenowania i jakiegoś niepokoju dotyczącego tego, skąd właściwie się wzięliśmy, skąd ja się wziąłem. I reakcją na to będzie takie nerwowe poszukiwanie jakiegось tożsamości kompletnie wyдуманego, jakiegoś przodka z Kresów, który jakoby miał tam majątki, albo ewentualnie tego poczucia, że właściwie jesteśmy nowojorczykami.



...modą jest uwielbione przez Polaków w pewnym momencie sushi. Stało się ono w Polsce po prostu próbą udawania, że w ogóle nie jesteśmy stąd, że przynależymy do jakiegось światowej elity, która niezależnie od tego, czy jest z Londynu, Paryża czy Warszawy, chodzi na sushi i jeździ na narty w Alpy.

Ilość energii, trudu, który wkładamy w te wyobrażenia, jest tak duża, że oczywiście dzieje się to kosztem tu i teraz. Myślę, że szczególnie wielkomięjska polska klasa średnia kompletnie prze-gapiła negatywne konsekwencje transformacji, bo zajęta była swoją „nowojorskością”, i teraz boryka się z tymi konsekwencjami transformacji, które być może ostatecznie doprowadzą do wyjścia Polski z Unii Europejskiej. Więc w tym sensie koszt nieświadomości w tych sprawach jest bardzo, bardzo duży.

A co byłoby, gdybyśmy tej rewolucji nie przespali? Zastanawiał się Pan Profesor kiedyś nad takimi scenariuszami alternatywnymi, kim byłaby dzisiaj polska klasa średnia, polskie społeczeństwo i kim byłby Polak jako jednostka?

Gdyby w Polsce doszło do rzeczywistej rewolucji społecznej, to prawdopodobnie mielibyśmy tożsamość dużo bliższą tym społeczeństwom, w których takie rewolucje się zdarzyły. Myślę o Francji czy Anglii. Ale też wydaje mi się to bardzo mało realne, bo mieszczaństwo w Polsce, właśnie z tego tytułu, że byliśmy krajem zdominowanym przez ziemiaństwo, utrzymujące resztę społeczeństwa, czyli przede wszystkim chłopów w całkowitej bierności i poddaństwie, rewolucja była bardzo mało prawdopodobna. To nie jest typ społeczeństwa, w którym łatwo dochodzi do rewolucji. Również dlatego, że mieszczaństwo w Polsce miało charakter stanowo-oddzielony, czyli było żydowskie albo ewentualnie niemieckie. I w związku z tym nie mogło być nośnikiem zmian politycznych.

Ale dodałbym jeszcze jedną rzecz – tak naprawdę tych krajów, które w pełni świadomie, w sensie społecznym, przeprowadziły rewolucję, jest w świecie bardzo niewiele. Ja właściwie cały czas przywołuję trzy przykłady: Stany Zjednoczone, Anglię i Francję. Można powiedzieć, że w Rosji wybuchła rewolucja, ale ona zupełnie nie miała podobnego charakteru i jej przebieg, konsekwencje były inne niż te rewolucje mieszczańskie, o których mówimy. Ciekawym przypadkiem są Chiny, w których doszło do rewolucji i które stają się państwem typowo mieszczańskim, kapitalistycznym, z olbrzymią klasą średnią. No, ale Chiny to jest tak egzotyczny i odległy świat, że wolę pozostać w obrębie Zachodu czy globalnej Północy. I w tym sensie ogromna większość społeczeństw w naszym kręgu kulturowym przeszła rewolucję raczej podobnie jak Polska niż jak Francja czy Anglia. Co więcej, jeżeli weźmiemy pod uwagę również kraje kolonialne, to tam modernizacja i wyłonienie się klasy średniej też zwykle odbywało się przez najazd i ingerencję innych. Zatem nasz przypadek jest raczej typowy niż nietypowy.

My, Polacy, lubimy czuć się wyjątkowo. A wcale tacy nie jesteśmy, jak się okazuje.

To jest jeden z tych mitów, którymi podtrzymujemy swoją tożsamość. To akurat psychologia, w szczególności psychoanaliza wie dobrze, że ci, którzy doznali traum, urazy i krzywdy, bardzo często próbują kompensować to nadmiernym poczuciem wyjątkowości.

Zostawmy tę rewolucję. Tomasz Stawiszyński w książce „Potyczki z Freudem”, w której obiera sobie za przewodnika

duchowego Jamesa Hillmana, ucznia Junga, twierdzi, że psychoterapia próbuje tworzyć człowieka idealnego, ale niekoniecznie jest to dobra droga. Prof. Mikołajko w recenzji tej książki napisał, że wiara w to, że człowiek może za pomocą psychoterapii stać się idealny, to „potwór, który czyha na wolność tegoż człowieka”. Zastanawiam się, czy klasa średnia to nie jest taki właśnie konstrukt po psychoterapii, w jej trakcie albo tuż przed nią. Czy jej przedstawiciele nie dążą do stania się właśnie takim człowiekiem idealnym? I czy to dążenie do bycia idealnym nie zabiera im wolności?

No tak, ale ta teza jest błędna. Ta część psychoterapii, która wyrasta z psychoanalizy, akurat zupełnie nie ma takiego pomysłu, aby człowieka skłaniać do tego, by był idealny. Raczej robi coś zupełnie przeciwnego, tzn. większość systemów uspołecznienia, chociażby chrześcijaństwo, bardzo silnie naciska na to, żeby być dobrym i właśnie idealnym w pewnym sensie, a grzech, wszelkiego rodzaju błędy, czasem złe czyny traktuje jako coś, co powinniśmy potępiać, i czego powinniśmy się straszliwie wstydić. Psychoterapia wyrastająca z psychoanalizy pracuje raczej nad tym, aby człowiek zaakceptował swoje słabości i swoje błędy, co nie znaczy, żeby je adorował i hodował w sobie, ale żeby nie dręczył się przesadnie tym, że błąd popełnia. I w tym sensie zupełnie bym się nie zgodził z tą tezą Hillmana i Stawiszyńskiego.

Natomiast wydaje mi się, że to nieporozumienie wynika głównie z tego, że część psychoanalitycznego nauczania została przechwycona i transformowana, powiedzmy w kulturze amerykańskiej, przez taki nurt, który wyrasta z purytyzmu w gruncie rzeczy, z – powiedziałbym – tej ideologii, która ukształtowała Stany Zjednoczone, mianowicie samodoskonalenie. W protestantyzmie, który ukształtował mentalność amerykańską, bardzo istotnym elementem jest proces pracy nad sobą, samodoskonalenia i w związku z tym również aktywności w świecie. I tam psychoterapia została jakby włączona w ten sposób myślenia. Stała się jeszcze jednym narzędziem samodoskonalenia, które miało doprowadzić do tego, że człowiek był społeczny, co oznacza przede wszystkim rynkowo skuteczny. I to miał być doskonały człowiek. I teraz, ponieważ Stany Zjednoczone były hegemonem kulturowym drugiej połowy, a szczególnie końca XX wieku, to tamten uproszczony obraz psychoterapii wrócił szczególnie do krajów, podlegających transformacji tak jak Polska, których tożsamość na dodatek z tymi wszystkimi zawirowaniami, o jakich mówiliśmy, była bardzo niepewna. Wrócił i został przejęty, stał się elementem tej narracji neoliberalnej, rynkowej, według której jeśli człowiek się źle czuje w swojej korporacji, to znaczy, że coś jest z nim nie tak. Powinien pójść do psychoterapeuty i coś ze sobą zrobić, żeby być wydajnym pracownikiem. I w tej formie oczywiście ta ideologia podlega krytyce, którą przedstawił Tomasz Stawiszyński. Ale to jest głęboko stransformowana i przechwycona przez pewnego rodzaju kulturową, zupełnie inną ścieżkę psychoterapii.

I Polacy naprawdę kupili ten stransformowany nurt psychoterapii? Czy jednak nadal mocniej pozostają po prostu pod wpływem kultury chrześcijaństwa, które mówi

im, że mają być idealni? A może Polacy wcale nie chcą być idealni?



...Polacy jako tacy nie istnieją, to znaczy Polacy są aktualnie niesłuchanie podzielonym społeczeństwem, również kulturowo.

Przede wszystkim wydaje mi się, że Polacy jako tacy nie istnieją, to znaczy Polacy są aktualnie niesłuchanie podzielonym społeczeństwem, również kulturowo.

A klasa średnia? Istnieje i jest w jakiś sposób jednorodna?

Nawet w tym podziale, od którego zaczęliśmy, to znaczy na tych, którzy jedzą sushi, i tych, którzy budują sobie dworki, jest bardzo głębokie zróżnicowanie kulturowe, a jedni i drudzy mogą być zaliczani do klasy średniej. I w związku z tym również stosunek do psychoterapii i jej funkcji bardzo się różni. I też wśród psychoterapeutów istnieją na ten temat ogromne różnice, bo w Polsce istnieje bardzo wiele nurtów psychoterapii. Wydaje mi się, że ta psychoterapia psychoanalityczna czy sama psychoanaliza raczej właśnie pracuje nad tym, żeby człowiekowi zwiększyć margines czy też pole wolności. I żeby było tak, że człowiek rozumie siebie, a w związku z tym może też wybierać coś, co z punktu widzenia rynkowego jest niedoskonałe. Ale oczywiście istnieją takie nurty psychoterapii bliższe temu – nazwijmy to – amerykańskiemu źródłu, które ma taką ideę dostawiania człowieka do wymagań współczesnego społeczeństwa, czyli przede wszystkim społeczeństwa konsumpcyjnego i rynkowego. I pod tym względem po prostu się różnią.

Oczywiście ogromną rolę odgrywa też religia, chociaż moim zdaniem co najmniej w wielkomiejskiej klasie średniej ona, jako wyznacznik rzeczywistych trendów życia czy celów życia, coraz mniej się liczy. Nie widzę, żeby ludzie działali z myślą o zbawieniu wiecznym i ewentualnym potępieniu. Ale np. już myślę, że poza wielkimi czy nawet średnimi miastami różnie bywa, zresztą mówię tu o mentalności, a nie konkretnym miejscu zamieszkania. Wszystko to powoduje, że polskie społeczeństwo jest w ogromnym ruchu, w sensie mentalnościowym. I jak w każdym społeczeństwie porewolucyjnym dokonuje się tutaj transformacja. Już nie mówię o ekonomicznej transformacji lat 90., tylko transformacji postaw, mentalności, właśnie tych imaginariów rządzących wyobraźnią. I jednym z elementów tych imaginariów jest takie wyobrażenie na temat samego siebie, że jest się częścią klasy średniej. A, o ile pamiętam, z badań, które przeprowadził IBRiS, wynika, że 70 procent Polaków uważa się za klasę średnią.

Dokładnie tak, ponad 72 procent.

To się tak bardzo nie zmienia, bo pamiętam, że pod koniec lat 90. przeprowadzono bardzo podobne badania i też tam około 80 procent ludzi uważało się za klasę średnią. I oczywiście wszyscy socjologowie pomstują i rzucają pioruny, ponieważ w sensie materialnych wyznaczników tego, kto jest klasą średnią, duża część tych ankietowanych nie wpisuje się w te ramy. Dlatego ja jestem zwolennikiem nie tyle określenia klasy średniej ze względu na jej aktualną sytuację materialną, tylko ze względu na aspiracje. To wydaje mi się modelem, który pozwala rozumieć dynamikę społeczeństwa, to znaczy to, co się będzie działo w ciągu jakiegoś najbliższego okresu.

„Najbliższego okresu” oznacza lata?

Może nawet dziesięciolecia. I w tym sensie, moim zdaniem, polskie społeczeństwo przyjęło tę ideologię – bardzo indywidualistyczną, bardzo opartą na amerykańskim micie, mówiącym, że każdy jest kowalem własnego losu, każdy może się wzbogacić, poprawić swoją materialną sytuację, że jego dzieci powinny uzyskać dobre wykształcenie i pojechać pracować tam, gdzie się więcej zarabia. Ten rodzaj mitologii celu, marzenia powoduje, że nawet ludzie, którzy aktualnie są w kiepskiej sytuacji materialnej, będą się określać jako klasa średnia, bo aspirują i to jest właśnie cel, do którego dążą.

Czy ze społecznego punktu widzenia obranie takiej ścieżki prowadzi nas do jakiegoś rozwoju, czy raczej do frustracji?

To, po pierwsze, zależy od tego, jaka jest sytuacja danej osoby i czy jej życiowe realia jakkolwiek odpowiadają temu marzeniu. Bo jeżeli ktoś jest mieszkańcem małego miasteczka, w którym nie ma w ogóle żadnej pracy, i jego szanse na wyjechanie z tego miasteczka są żadne, nie mówiąc już o sytuacji, kiedy jest jedynym spadkobiercą gospodarstwa, i właściwie musi na tym gospodarstwie pracować, to marzenie o tym, że zostanie klasą średnią w takim wyobraźniowym sensie może być źródłem olbrzymiej frustracji.

Z drugiej strony, dla pewnej liczby ludzi, którzy jakieś szanse mają, oczywiście jest to historia mobilizująca.

Mobilizująca do czego właściwie?

Ja ze względów, o których mówiłem wcześniej, odnoszę wrażenie, że o ile jest to historia mobilizująca do tego, żeby realizować sukces indywidualny, ewentualnie rodzinny, to ona nie bierze w zasadzie pod uwagę wspólnoty, w której się żyje. A niewzięcie pod uwagę dóbr wspólnych paradoksalnie obniża w gruncie rzeczy indywidualną jakość życia. Bo jeżeli nie ma porządnej służby zdrowia, jeżeli trzeba bardzo dużo płacić za prywatną edukację, jeżeli jest zagrożenie bezpieczeństwa, bo istnieją duże obszary biedy, które zawsze rodzą różnego rodzaju zagrożenia, to po prostu indywidualna jakość życia też tej klasy średniej, potencjalnej zaczyna się obniżać.

Oczywiście może być tak, że te marzenia będą dawały pewną dynamikę i energię ludziom, żeby realizowali się indywidualnie albo rodzinie, ale moim zdaniem koniecznie wymagają uzupełnienia o właśnie jakiś rodzaj refleksji społecznej. I myślę, że warto, aby zaczynała się ona od przepowiedzenia sobie swojej genealogii.

Skoro ten indywidualizm w ujęciu społecznym prowadzi nas jednak trochę donikąd, to czy w skali całego społeczeństwa możemy to zmienić i co musi się wydarzyć, żeby to zrobić i podążać w stronę budowy takich wartości społecznych, które ostatecznie spowodują, że każdemu z nas będzie się żyło lepiej?

Tu są dość oczywiste strategie. Tylko te strategie wymagają, by ludzie, którzy myślą mniej więcej w ten sposób, sprawowali pewną władzę polityczną. To są strategie edukacyjne, czyli to, do czego wychowujemy dzieci. Polska szkoła przez okres potransformacyjny była szkołą rywalizacyjną, już nie mówię o prywatnych szkołach, w których rywalizacja była jeszcze wzmocniona. To znaczy każdy pracował wyłącznie na siebie, indywidualnie i po to, żeby przegonić innych. Wiadomo, że społeczeństwa, w których standard i komfort życia wydają się najwyższe, mają szkoły, które uczą współpracy. To jest bardzo prosty przykład, ale on pokazuje sedno sprawy, to znaczy cała pedagogika społeczna lat 90. to była pedagogika typu: „sam jesteś kowalem swego losu, los innych za bardzo cię nie interesuje”. Skutki tego widać dzisiaj – chociażby w tym, jak bardzo trudno działać wspólnie, choćby podczas protestów w sferze publicznej. I odwrócenie tego trendu, odwrócenie tego sposobu myślenia wydaje mi się absolutnie kluczowe.

Poza tym potrzeba też o wiele większego solidaryzmu w myśleniu o gospodarce, chociażby świadomości, jak ogromną rolę

dla komfortu całego społeczeństwa, również tych lepiej sytuowanych, odgrywa dobrze funkcjonująca sfera usług publicznych. To jest coś, co zmienia mentalność, kiedy np. w paryskim metrze, w tym samym wagoniku jedzie ktoś, kto pracuje w korporacji i ktoś, kto pracuje jako hydraulik. W tym sensie realizacja tych wszystkich postulatów, a jest ich pewnie jeszcze więcej, wymagałaby tak naprawdę głębokiej zmiany politycznej w Polsce. I też zmiany tego, w jaki sposób rozumie się dobro wspólne w najszerszej skali.

Mam takie poczucie, że jeśli się to uda, to zajmie nam jeszcze wiele dekad, patrząc na to, jak polskie społeczeństwo zareagowało na propozycje Polskiego Ładu. Weźmy choćby składkę zdrowotną, która przecież nie tyle ma zostać podniesiona dla przedsiębiorców, ile po prostu zrównana. I tego też wielu ludzi nie jest w stanie przełknąć.

Myślę, że ten przykład doskonale pokazuje, jak ta pedagogika lat 90. głęboko zapadła w świadomość. Ale też zawodowi ekonomiści czy komentatorzy skupili się na ataku, że prywatny przedsiębiorca będzie płacił wyższą składkę, choć mówiąc szczerze, dla większości nie jest to problem. Natomiast o wiele mniej było komentarzy na temat uszczuplenia dochodów samorządów, a przecież są one takim dobrem publicznym, które trzeba hołubić i chronić, bo należą do tych rzadkich dóbr publicznych, które się w Polsce udały i dobrze funkcjonują. I to, że PiS dewastuje teraz tym projektem Polskiego Ładu właśnie samorządy spotkało się z o wiele mniejszą krytyką komentatorów niż to, że ktoś chce klasie średniej zabrać mały procent dochodu na finansowanie ochrony zdrowia. Tak, myślę, że tu jest ogromna praca do wykonania, zaczynając od ludzi, którzy kształtują opinię publiczną. ■

Rozmawiała:

Agata Kołodziej





Elżbieta Mączyńska

**Wolimy PKB
czy jednak jakość życia?**



Agata Kołodziej: Rok 2020 przyniósł największy od 1991 roku spadek wartości polskiej gospodarki. I pojawiła się rozpacz. Z kolei dane o PKB za II kwartał 2021 roku pokazały już, że nasza gospodarka urosła o 11,1 procent – pojawiła się euforia. Ten rozwój gospodarczy buduje przede wszystkim konsumpcja, czyli buduje go też to, że Polacy, jak pokazują badania IBRiS opisane w raporcie „Gra w klasy”, czują się coraz bardziej członkami klasy średniej – nawet jeśli nie są nimi w ekonomicznym czy socjologicznym sensie. Z tego oczywiście cieszy się minister finansów, bo kiedy rośnie konsumpcja, rosną nam wszystkie wskaźniki makroekonomiczne. A ja zastanawiam się, jak długo jeszcze możemy tak gospodarczo rosnąć i pompować PKB? Gdzie jest jakaś granica?

Elżbieta Mączyńska: Od razu możemy dodać kolejne pytanie: po co właściwie rosnąć? Więc niestety tak się stało, że

nastąpiło jakby pomylenie środków z celami. Ten proces postępuje od mniej więcej czterech dekad, przede wszystkim w krajach Zachodu. A my wpływem krajów Zachodu bardzo silnie ulegamy w wyniku tego, że polityka tych krajów została zdominowana przez doktrynę neoliberalną. Celem stał się wzrost PKB. Nie tylko celem – fetyszem, bożkiem, nie znajdzie Pani przecież dnia, żeby właściwie w każdym kraju, we wszystkich gazetach, w mediach nie było wzmianek o PKB. PKB rośnie i mamy komunikaty, że było 4,9 a jest 5,1, a może nawet będzie 5,5. A co właściwie rozumie z tego przysłowiowy Kowalski?

Pewnie niewiele. Za to zewsząd słyszy, że powinien się z tego cieszyć.

Tylko że PKB to jednak Kowalski nie włoży do garnka. A gdyby Pani zrobiła sondę uliczną i zapytała przypadkowe osoby: czy

pani/pan wie, co to jest PKB, to daję głowę, że zdecydowana większość nie potrafiłaby tego akronimu rozszyfrować. Te nie-liczne osoby, które by go zaś rozszyfrowały, nadal nie bardzo by wiedziały, czym ten „produkt krajowy brutto” właściwie tak naprawdę jest. Może więc warto powiedzieć na początku, że jest to miara bardzo przydatna w ekonomii, ale odnosząca się wyłącznie do naszych poczynąń rynkowych. Produkt krajowy brutto to wartość nowo wytworzona – to, co wytwarzamy, ale zawsze za pieniądze. Dla pracownika wartość nowo wytworzona to płaca, a dla przedsiębiorcy to są zyski. Suma zysków i płac daje nam wartość nowo wytworzoną, czyli PKB. Ale dotyczy to tylko tej działalności, która jest opłacana, czyli nie jest charytatywna, nie jest bezpłatna – a więc PKB to miara transakcji rynkowych.

Tymczasem życie nie sprowadza się tylko do rynku, w życiu wykonujemy bardzo dużo prac użytecznych czy wręcz niezbędnych – ale niepodlegających wycenieniu, nieopłacanych. Prace domowe, prace opiekuńcze, gotowanie zupy – to wszystko jest praca, ale ona nie powiększa PKB. Jest taka słynna dykteryjka o ekonomicznym nobliście profesorze Samuelsonie, który zadał studentom pytanie: „co się stanie, jeżeli profesor ożeni się ze swoją gospośką?”. Studenci kombinowali, że może uczucia osłabną, że dojdzie do rozwodu i tym podobne, a profesor zażądał: „odpowiadajcie mi ekonomicznie”. Odpowiedź ekonomiczna jest zaś taka, że spadnie PKB. A dlaczego spadnie PKB? Bo gospośka jako gospośka, zatrudniona przez pana profesora, otrzymywała pensję, nieważnie czy oficjalnie, czy pod stołem, a jako żona przestanie otrzymywać pensję, ale zupę pomidorową ugotuje nadal. Krótko mówiąc, PKB to miara, owszem, bardzo potrzebna, ale nie uniwersalna. To miara, która powstała po wielkim kryzysie, bo profesor Kuznets – później dostał za to Nobla – opracował ją na zlecenie władz Stanów Zjednoczonych, po to, by pokazać, co się stało w wyniku zapaści z lat 1929–1933. Dopiero potem, po wojnie, pod wpływem ONZ i innych organizacji, to kryterium zostało spopularyzowane w odniesieniu do bieżącego stanu gospodarki. A mniej więcej od lat 70. minionego wieku się rozpanoszyło, stało się bożkiem.

Ale dlaczego to źle?



Trzeba po prostu rozróżniać wzrost gospodarczy od rozwoju społeczno-gospodarczego.

Dlatego, że PKB nie zawsze odzwierciedla realny poziom jakości życia ludzi. Trzeba po prostu rozróżniać wzrost gospodarczy od rozwoju społeczno-gospodarczego. Wzrost gospodarczy to wytwarzanie różnych dóbr rynkowych, także prostytucji i także narkotyków. Tak, tam też są zyski i tam też są płace. GUS

wlicza szarą strefę do PKB na podstawie szacunków. Można się naigrywać, jak GUS to szacuje i skąd on właściwie wie, ile zarabia prostytutka, ale to jest zupełnie inna kwestia. Przy tym tak jest w całej Europie, bo od 2014 roku Unia nakazała nam wliczanie szarej strefy i takich działalności jak prostytucja do produktu krajowego brutto. Można więc powiedzieć, że jak będzie nam się w Polsce upowszechniała prostytucja, to będzie wzrastał produkt krajowy brutto. Ale jakość życia rodziny i relacji społecznych już niekoniecznie musi się wtedy poprawiać.

Dobrze, ale jak możemy to zmierzyć?

Tylko co? Tę prostytucję?

Nie, jakość życia.

Spróbujmy może tak: idzie Pani do sklepu i kupuje krem... to mi się zresztą zdarzyło ostatnio. Tak więc kupuję ten krem, sprzedawczyni wystawia mi jakieś ogromne pudło. Pytam, co w tym pudle właściwie jest, a ona mi pokazuje małe słoiczek kremu. Z wybrzuszonym dnem, czyli tam jest odrobina tego kremu, ale w pięciu opakowaniach, w tym ostatnie – złoty karton. I ja za to wszystko płacę. A co robię po przyjeździe do domu? Natychmiast wyrzucam to do kosza. Idzie Pani do sklepu, kupuje Pani pastę do zębów, nie ma Pani wyboru, w moim sklepie na przykład nie mam wyboru, żeby obok siebie leżała ta sama pasta w kartonie i bez kartonu. Przecież ja ten karton natychmiast wyrzucam do śmieci. On jest srebrny, złoty, piękny, a ja go wyrzucam. I jeszcze płacę za te śmieci, a to powiększa PKB.

Minister finansów znów się cieszy!

Tak, tylko że te śmieci poprawiają PKB, ale czy jednocześnie poprawiają też jakość naszego życia? Sam wzrost gospodarczy to płace i zyski. Ale drugi filar rozwoju społeczno-gospodarczego to postęp społeczny. A co to jest postęp społeczny? Na przykład to, czy mamy dobrą opiekę medyczną i edukację na właściwym poziomie. I to, czy nasze dzieci mają przedszkole, dojazdy itd. Czy mamy pracę, czy jest bezrobocie. To właśnie jest postęp społeczny. Ale to nie wszystko, bo możemy mieć pracę, stawiamy plus w tym pierwszym filarze, czyli wzrost gospodarczy rośnie, OK, świetnie. W drugim filarze stawiamy plus, jeżeli mamy pracę, poprawiają nam się możliwości edukacyjne, dzieci mogą iść do przedszkola i tak dalej. Ale jest jeszcze trzeci filar rozwoju społeczno-gospodarczego. To postęp ekologiczny. Co z tego, że Pani ma pracę, co z tego, że Pani ma pieniądze, kiedy Panią truje zanieczyszczone powietrze, może Pani zachorować na raka, na gruźlicę, na choroby układu oddechowego. Mamy przecież ten problem w Polsce – smog skraca nasze życie – i sprawia, że co roku nawet 40 tysięcy Polaków przedwcześnie umiera z powodu różnych chorób spowodowanych przez zanieczyszczenie powietrza.

Na nic nam sam wzrost gospodarczy, jeśli nie mamy, czym oddychać i gdzie się dobrze leczyć?

Trochę na nic. Wzrost gospodarczy, postęp społeczny i postęp ekologiczny – to jest właśnie to, co Komisja Europejska

nazywa potrójnie zrównoważonym rozwojem. Mnie się tu wprawdzie nie podoba słowo „zrównoważony”, bo równowaga jest stanem chwilowym. Teraz mam poczucie nierównowagi, bo chcę się napić kawy, no to idę, piję tę kawę i wracam do równowagi, prawda? Tylko że za chwilę znowu będę miała ja-



**...nierównowaga napędza
postęp, szukamy rozwiązań,
żeby doprowadzić do równowagi,
ale równowaga jest zawsze
stanem w naszym życiu jedynie
chwilowym.**

kieś tam potrzeby – nierównowaga napędza postęp, szukamy rozwiązań, żeby doprowadzić do równowagi, ale równowaga jest zawsze stanem w naszym życiu jedynie chwilowym. Dlatego ja wolę używać pojęcia „potrójnie zharmonizowany rozwój społeczno-gospodarczy” – bo tylko taki rozwój może być trwały. Co znaczy „potrójnie zharmonizowany”? Że zależy nam na takim wzroście gospodarczym, który służy postępowi społecznemu – czyli z pewnością nie jest to wzrost oparty głównie na prostytucji – a jednocześnie następuje poprawa ekologiczna. Dopiero, jeżeli we wszystkich trzech obszarach możemy postawić plusy, możemy mówić o trwałym, harmonijnym albo potrójnie zrównoważonym rozwoju społeczno-gospodarczym. A zatem wzrost i rozwój to nie to samo. Sam wzrost, bez postępu społecznego i bez postępu ekologicznego, jest dzikim wzrostem gospodarczym – a taki wzrost może wręcz zabijać.

Żyjemy w świecie, w którym ten dziki wzrost wyraźnie dominuje? Czy jest Pani zdaniem widoczny na horyzoncie jakiś zwrot?

Mamy do czynienia z przełomem cywilizacyjnym. Profesor Kleer określa to jako „przesilenie cywilizacyjne”. Co to znaczy? Że kończy się pewien model rozwoju – ten industrialny, z kominami fabrycznymi – na rzecz innego, ciągle niedodefiniowanego. Mówimy „cywilizacja cyfrowa”, „rewolucja cyfrowa” i „czwarta rewolucja” przemysłowa. Jeśli jest czwarta, to znaczy, że wcześniej były jakieś trzy. Tę pierwszą rozpoczęła maszyna parowa, w XVIII wieku, kiedy nastąpiło przejście od manufakturowego systemu do fabrycznego. Potem była druga rewolucja, czyli przejście od wieku pary do wieku elektryczności, ale przecież do dziś jeszcze aż 14 procent ludzi na świecie nie ma dostępu do elektryczności. Trzecia rewolucja to już były same komputery, w połowie ubiegłego wieku. I czwarta to technologie: sztuczna inteligencja, sprzężenia potencjału hardware'u, czyli tych urządzeń, różnego rodzaju maszyn, komputerów, z oprogramowaniem. Do tego jeszcze technologie

wszczepialne i biologiczne. Połączenie tych trzech potencjałów: potencjału fizycznego, cyfrowego, czyli oprogramowania, i biologicznego, daje światu niewiarygodne możliwości wzrostu produkcji i zwiększania dostępu do różnego rodzaju dóbr. Ale jeżeli to będzie wzrost służący tylko samemu wzrostowi gospodarczemu, bez dbałości o postęp społeczny i postęp ekologiczny, to nie zapewni nam trwałości. Wcześniej czy później dojdzie do katastrofy – albo ekologicznej, albo buntów społecznych, rewolt społecznych, z którymi mamy zresztą już obecnie do czynienia. Ponadto eksperci przestrzegają przed katastrofą ekologiczną. Każdy kolejny kryzys – w tym i pandemia – pokazuje nasze błędy i obnaża grzechy.

Próbując przemodelować gospodarkę, ciągle tak naprawdę tkwimy w modelu neoliberalnym. Gdzie są te błędy i jak je, Pani Profesor, naprawiać?

Główny błąd to ten, że naszym celem pozostaje przede wszystkim wzrost PKB. A zaniedbania dotyczą społecznych



**Gubi nas pogoń za produkcją,
nieważne, czy ta produkcja
jest potrzebna, czy nie – i tak
produkujemy.**

i ekologicznych aspektów rozwoju. Gubi nas pogoń za produkcją, nieważne, czy ta produkcja jest potrzebna, czy nie – i tak produkujemy. Naprodukowaliśmy ogromne ilości plastików, opakowań, rzeczy, które nie tylko nie poprawiają jakości naszego życia, ale wyciągają pieniądze z naszych kieszeni. Ja na przykład kupuję mleko w szklanych butelkach – a na szklanej butelce jest napisane „butelka nie podlega zwrotowi”, płacę więc za tę butelkę bezzwrotną, a potem jeszcze płacę za wywóz śmieci. Przecież tak być nie powinno, powinniśmy zadbać o to, żeby ten producent wręcz musiał się z tą butelką odpowiednio obejść.

Próbujemy się teraz po raz kolejny z tymi przepisami w Polsce uporać i znów nie za bardzo nam to wychodzi.

Mało, że próbujemy i kiepsko nam to wychodzi, to jeszcze robimy to na najniższym poziomie. Prawie każdy zna sieć Aldi. Kiedy pojedziemy do Niemiec, w każdym tamtejszym Aldi znajdziemy maszynę-zgryzarkę do plastików. Możemy tam wszystkie swoje butelki plastikowe przynieść, maszyna je zmiażdży i jeszcze nam parę euro czy centów w nagrodę wyskoczy. A w Polsce tego nie ma. Pytam kierownika sklepu, dlaczego nie ma zgryzarki, brak sensownej odpowiedzi. A latem wokół sklepu pełno jest leżących plastikowych butelek. Wokół Aldi w Niemczech nie znajdzie się plastikowych butelek, bo są tam tacy panowie, którzy je zbierają i błyskawicznie

idą zamieniać je na euro, by kupić sobie piwo. A my tego nie robimy nawet na takim prostym poziomie – by wymóc na sieciach sklepów instalację tego typu maszyn. Ja nie wiem, dlaczego tak z nami jest, nie umiem odpowiedzieć. Wiem tylko, że to się negatywnie przekłada i na moją kieszeń, i na jakość życia, i na stan naszej planety.

Profesor Baldwin, nieżyjący już niestety, powiedział kiedyś tak: każdy, kto wierzy w nieskończony wzrost PKB na mającej fizyczne ograniczenia planecie, jest „albo szalony, albo jest ekonomistą”. Tym ekonomistą neoliberalnym, który uznaje, że PKB ma rosnąć i rosnąć. I teraz, po raz pierwszy dokonuje się przewrót – pod wpływem pandemii i rewolucji technologicznej. W efekcie nawet takie środowiska jak środowisko „Financial Timesa” mówią wreszcie otwarcie, że trzeba coś zmienić. Że nie możemy w nieskończoność dbać tylko o wzrost, a nie dbać o postęp społeczny i postęp ekologiczny.

W historii świata zmiana modelu gospodarki, taka totalna, wydarzała się zawsze w momencie, kiedy coś się zawalało, kiedy potężny kryzys był impulsem wymuszającym przemianę. Czy Pani Profesor ma teraz poczucie, że naprawdę coś się zawaliło? Bo ja mam poczucie, że raczej wracamy na tę starą drogę.

Trzeba popatrzeć na historię kryzysów. Każdy głębszy kryzys doprowadzał do jakichś głębszych zmian. Po wielkim kryzysie w Stanach Zjednoczonych pojawił się prezydent Roosevelt, który wprowadził New Deal, czyli Nowy Ład. A jaki ten Nowy Ład był w porównaniu z poprzednim? Wyróżniała go dbałość o cele społeczne, na przykład przeciwdziałanie bezrobociu,



Każdy kolejny kryzys obnaża nasze grzechy.

żeby ludzie mieli pracę. No oczywiście spotykało się to z różnymi protestami biznesu, bo Roosevelt narzucał wysokie podatki. W ramach New Deal obowiązywała naprawdę wysoka progresja – ta nasza progresja to jest nic, tam obciążenia podatkowe dla najbogatszych dochodziły do 90 procent. Ale kiedy przeciętny człowiek, nie ekonomista, słyszy, że progresja podatkowa sięga 90 procent, to mówi tak: „To co? Jak ja zarobię 1000, to mi 900 z tego zabiorą?”. Otóż nie, zabiorą ci 90 procent kwoty powyżej iluś milionów, które zarobiłeś. 90 procent dotyczy tylko tych naprawdę „wielkich” milionów. I Roosevelt się dobrał do tych wielkich milionów po to, aby doprowadzić do postępu społecznego. I teraz dzieje się podobnie. A Pani zdaje się sugerować, że nic wielkiego się nie dzieje, że w sumie wszystko gra.

Chyba większość społeczeństwa ma nadal takie wrażenie. Ostatecznie, kiedy w badaniach społecznych Polacy

są pytani o oszczędności albo o kłopoty z regulowaniem należności, to wyniki – w porównaniu z zaledwie 2015 rokiem – wskazują, że ich sytuacja materialna naprawdę się poprawiła.

Polacy się wzbogacili ze względu na to, że Polska ma potencjał rozwojowy. I nie mówię tylko o potencjale wzrostu. Dlaczego? Bo w Polsce mamy dużo ludzi wykształconych, mamy dość dobre, mimo wszystko, uczelnie. I mimo trudnych warunków na przykład nasi medycy są dobrze wykształceni i bardzo pożądanymi, niestety, za granicą. Mamy zatem cały szereg bardzo ważnych czynników, które dają nam ten trwały wzrost. Nie mówiąc już o naszych przewagach w sensie klimatycznym – przecież mamy jednak ciągle, mimo letnich upałów, przyjazny dla człowieka klimat. Do tego jesteśmy centralnie usytuowani na mapie Europy – to też daje pewne przywileje. Mamy więc duży, wciąż nie do końca wykorzystany, wciąż częściowo marnotrawiony, ale potencjał.

Przejawem marnotrawstwa jest to, że w Polsce wciąż jest stosunkowo niska stopa zatrudnienia na tle innych krajów. To znaczy, że pracuje u nas znacznie mniej osób niż wynosi ogólna liczba tych, którzy są zdolni do pracy. I wypadamy tu kiepsko w porównaniu z Niemcami czy Skandynawią. Wynika to z różnych przyczyn – między innymi z polityki społeczno-gospodarczej. Na przykład część kobiet nie pracuje, bo biorą „500 plus” i siedzą w domu. A chętniej by podjęły pracę, gdyby na przykład pracodawca oferował im elastyczny system pracy, elastyczne godziny i właśnie pracę zdalną. Tymczasem nasi pracodawcy wciąż są bardzo sceptyczni, jeśli chodzi o pracę zdalną. Ale na tym nie koniec, bo aby aktywizować zawodowo kobiety, potrzebujemy też dobrze funkcjonujących przedszkoli, lepszego dostępu do pediatrów, a także lepiej rozwiniętej opieki nad seniorami – bo przecież wiele młodych kobiet nie może podjąć pracy, gdyż zajmuje się rodzicami, którzy nie mogą liczyć na prawdziwą opiekę. Polityka senioralna leży u nas na łąkach, w odróżnieniu od innych krajów, gdzie jest ona rozwinięta. A to jest marnowanie potencjału – przecież osoby w wieku 50 plus również mogłyby się spełniać na rynku pracy, mamy starzejące się społeczeństwo i musimy nauczyć się wykorzystywać jego potencjał.

I to są kolejne wyzwania dla polskiej gospodarki. Pytanie, czy Polski Ład próbuje na te wyzwania jakkolwiek odpowiadać?

Jeśli chodzi o sam kierunek zmian, to nawet tak. W Polskim Ładzie widać, przynajmniej jeśli chodzi o system podatkowy, ukierunkowanie na większą progresję. Osobiście jednak uważam, że wciąż za mało jest tych szczebli...

Powinniśmy wprowadzić więcej progów podatkowych?

Tak, moim zdaniem tak, ale przy odpowiednio wysokich dochodach. Nie chodzi o wyższe opodatkowanie średniaków, tylko tych naprawdę bardzo wysoko zarabiających.

Mamy podatek solidarnościowy. On nie wystarcza?

Nie, nie wystarcza, dlatego że to jest bardzo niski podatek, przynajmniej na tle innych krajów, które mają podatki progresywne. Dlatego mówię o nowych progach. W tej chwili osoba, która zarabia 120 tysięcy złotych rocznie, jest opodatkowana tak samo jak ludzie, którzy zarabiają grube miliony. Przecież w Polsce przybywa nam nawet miliarderów. Polityka podatkowa powinna to uwzględniać. Nie chodzi o niszczenie bogatych. Proszę raczej zauważyć, że najbogatsi w wielu krajach Zachodu już sami się zgłaszają, że chcą płacić większe podatki. Słynny Warren Buffett, jeden z najbogatszych ludzi świata, bardzo się przestraszył, kiedy zobaczył, że jego sekretarka jest relatywnie wyżej opodatkowana niż on. Od tego momentu zaczął uprawiać zintensyfikowaną działalność charytatywną. Niektórzy spośród ludzi naprawdę bogatych zdają sobie dobrze sprawę z tego, że nierówności biją także w ich interesy. Dlaczego? Dlatego, że im większe są nierówności, im szybciej narastają, tym bardziej jest to groźne dla popytu. Bo popyt tworzą masy. Kiedy damy 100 złotych osobie, która zarabia miliony, ona w ogóle tego nie zauważy. Kiedy jednak damy 100 złotych osobie, która zarabia w granicach płacy minimalnej, natychmiast ruszy do sklepu. Im więcej dochodów trafia do najbogatszych, tym gorzej dla popytu i dla trwałych szans gospodarki.



Widzimy grzechy, które narastały od co najmniej czterech dekad. To grzechy niedbałości o sprawy społeczne, grzech niedbałości o klimat, grzech bezrefleksyjnej pogoni za bogactwem.

Spytała Pani, czym skutkowałą pandemia. Otóż innym sposobem myślenia. Zaczynamy inaczej myśleć. Widzimy grzechy, które narastały od co najmniej czterech dekad. To grzechy niedbałości o sprawy społeczne, grzech niedbałości o klimat, grzech bezrefleksyjnej pogoni za bogactwem. Ludzie się zaharowują po ileś tam godzin na dobę po to, żeby kupić kolejną bluzkę, kolejne buty, a jednocześnie w tym czasie nie opiekują się odpowiednio nawet własnymi dziećmi. Rośnie liczba chorób psychicznych, nawarstwiają się problemy społeczne. I po części dlatego pojawiają się takie książki jak „Ekonomia obwarzanka”, której autorka Kate Raworth mówi o syndromie kukułczego gniazda. I o tym, że zamieniliśmy środek w cel. To PKB jest tym podrzutkiem, jak w kukułczym gnieździe. Raworth mówi o eksmisji tego kukułczego jaja, żeby je wywalić i wreszcie zadbać także o inne cele. I to powoli zaczyna się już dziać. Proszę zwrócić uwagę, jak się zmieniły poglądy Międzynarodowego Funduszu Walutowego, który do niedawna mówił w odpowiedzi

dosłownie na wszystko: „czas na politykę zaciskania pasa”, a teraz namawia, żeby państwa finansowały osoby ubogie, żeby dofinansowywały edukację i żeby wyrównywały szanse. To jeszcze przed 2008 rokiem było niemal nie do pomyslenia. Przecież jeszcze po 2008 roku Międzynarodowy Fundusz Walutowy swoim zaciskaniem pasa prawie udusił Grecję. I potem okazało się, że grecka gospodarka wcale się nie odradza, tylko umiera. Wtedy dopiero Międzynarodowy Fundusz Walutowy poszedł po rozum do głowy. Świat zaczyna się zmieniać.

Pani Profesor, czy my w Polsce jesteśmy gotowi na taką zmianę i na wyrzucenie tego kukułczego PKB z gniazda? Bo przecież przy każdej próbie zwiększenia progresji podatkowej nagle słyszymy w Polsce krzyk, jak przy okazji prezentacji pierwotnych pomysłów Polskiego Ładu, że to jest zarzynanie klasy średniej. Każda ze stron atakuje tego rodzaju pomysły.

Mało tego, przedsiębiorcy ostro protestują przy każdej próbie podniesienia podatków. Teraz też okazuje się, że przedsiębiorcy wynegocjowali sobie niższą stawkę zdrowotną, a my będziemy płacić 9 procent. Uważam, że jest to absolutnie niesprawiedliwe i nie znajduję żadnych argumentów, dlaczego miałyby tak być, poza argumentami świadczącymi o działaniu silnego lobby przedsiębiorców. Tymczasem my, osoby fizyczne, nie mamy takiego lobby. I w związku z tym chciałam tylko powiedzieć, że już pojawiają się opracowania i publikacje, które bardzo krytycznie oceniają takie postępowania przedsiębiorców. Można powiedzieć, że to jest wilcze prawo przedsiębiorcy walczyć o niższe opodatkowanie, ale z drugiej strony oznacza to niższe wpływy do budżetu. A niższe wpływy do budżetu to mniejsze nakłady na edukację, na ochronę zdrowia, na infrastrukturę. A potem przedsiębiorcy płaczą, że nie mają wykwalifikowanych pracowników, nie mają dróg... Ale podatków nadal nie chcą płacić. To przecież rodzaj schizofrenii podatkowej – marzenie o niskich podatkach, ale i o wysokim poziomie usług ze strony państwa. Nie da się tak.

Paul Krugman w ubiegłym roku wydał taką książkę, której polski tytuł brzmi „Idee zombie”. Otóż idee zombie to są takie żywe trupy. Jest już tysiąc dowodów, że to bzdury albo przynajmniej nieprawidłowe propozycje rozwiązań, a jednak ciągle się bronią, straszą i nadal funkcjonują. Krugman do takich idei zombie zalicza właśnie tę tezę, że niskie podatki służą biznesowi, bo jak biznes się bogaci, to wszyscy się bogacą. To jest teoria „skapywania”, oparta na myśleniu, że „każdy przyływ unosi wszystkie łódzie”. Grzegorz Kołodko niedawno w „Rzeczpospolitej” napisał „no tak, unosi jachty, a zatapia małe łódeczki” – i to jest bardzo trafne sformułowanie. Niestety, nie jest prawdą, że każdy przyływ unosi wszystkie łódzie. I teraz mamy alarm w Unii Europejskiej, bo pod wpływem pandemii nierówności wzrosły. Jednym z największych wyzwań staje się więc wyrównywanie szans.

Rozmawiała: Agata Kołodziej ■



Zbigniew Mikołajko

**Klasa średnia w Polsce? Istniała
w komunizmie, dziś już jej prawie nie ma
i nikt o nią nie dba**



Agata Kołodziej: Chciałabym pomówić o granicach wolności, o równości, o godności i wstawaniu z kolan. Tym ostatnim lubi się chwalić pan premier Morawiecki. Czy wstawanie z kolan „obudziło w nas chamów”? I czy to te same postaci, co wyimaginowany czarny lud, który kiedy tylko dostanie przelew z „500 plus”, biegnie do monopolowego? Panie Profesorze, z Pańskich tekstów i wywiadów mogłoby wynikać, że nie bardzo lubi Pan wspomnianą wolność, równość – i na dodatek klasę średnią, którą Panu „zohydzono”. A to by oznaczało, że zohydzono Panu ponad 70 procent społeczeństwa, bo z badań IBRIS-u wynika, że ponad 72 procent Polaków czuje się klasą średnią.

Zbigniew Mikołajko: Zaczniemy od tego, że to jest autodeklaracja będąca swoistą fałszywką. To, jak postrzegają samych

siebie Polacy, nie ma w gruncie rzeczy żadnego socjologicznego znaczenia. To jest takie samorozpoznanie będące dla wielu ludzi sposobem na dowartościowanie. Ale też za jego pomocą ludzie próbują pokazać, że nie mają zbyt wielu roszczeń wobec samych siebie: jestem „średni”, więc nie jestem z tych najniższych, ale też nie żywię pretensji do tego, żeby być na samej górze. I tyle ta deklaracja znaczy – ona ma raczej wymiar psychologiczny czy psychospołeczny niż socjologiczny, związany z konkretnymi miernikami i danymi ilościowymi, czyli tym wszystkim, co się nazywa czynnikami statusu dającymi się uchwycić w liczbach czy poprzez obserwacje.

Ale czy to nie jest w gruncie rzeczy pozytywne zjawisko, że aż 70 procent społeczeństwa co najmniej aspiruje do wejścia do klasy średniej? Czy to nie znaczy, że część Polaków ma motywację, by dobić do tych, którzy

są w hierarchii społecznej nieco wyżej i żyją sobie nieco lepiej?

I tak, i nie. Bo w wypadku wielu ludzi jest w tym przede wszystkim pewien lęk.

Przed czym? Albo o co?

Żeby nie być na samym dnie porządku społecznego. Oczywiście część z nich, jak Pani sugeruje, ma w sobie pewien dynamizm, pewne aspiracje, chce zostać uniesionymi gdzieś tam, w lepsze sfery, albo nawet choć poudawać, że do tych lepszych sfer przynależy. Zaznaczmy przy tym, że do „lepszych” to nie znaczy, że do najwyższych – bo ta część też jest jakoś często stygmatyzowana. W Polsce jest stara tradycja niedemonstrowania swojego bogactwa. To wynika z różnych względów, w tym z doświadczenia komunistycznego. Kiedy się pojedzie do Łomianek, na przykład, lub do innych podwarszawskich miejscowości, gdzie jeszcze w latach komunizmu rosły naprawdę duże pieniądze, to spotka się tam mnóstwo tzw. słupków – identycznych domków, niczym się niewyróżniających, szarych, takich, żeby nie zwracały na siebie uwagi rozmaitych władz – zwłaszcza finansowych. To wszystko w związku z domiarami podatkowymi i różnymi represjami o mniej lub bardziej fiskalnym charakterze. A zatem nasza chata z kraja, my siedzimy sobie cicho i nie jesteśmy najbogatsi. Poza tym unika się w ten sposób przykrych skutków mechanizmu zawiści, to jest taka ochrona, człowiek staje się kameleonem, przyczaja się gdzieś tam. I to dotyczy tego, żeby nie być na górze.

Oczywiście, bardzo lubi się być na górze, dobrze jest mieć samochód długi jak stąd do rzeki i jacht, i nieustające wakacje na Karaibach, ale niezależnie od tego w deklaracjach ogłasza się, że jest się klasą średnią. Te 70 parę procent Polaków uważających się za członków klasy średniej – a czasem mówi się, że nawet 80 – to są właśnie deklaracje, a nie stan faktyczny.

To spróbujmy określić ten stan faktyczny. Jak szeroka jest Pańskim zdaniem klasa średnia w Polsce?

Tutaj powinniśmy mówić o metaforze klepsydry. Klasa średnia doznaje zwężenia – u podstawy klepsydry jest klasa niższa, którą niektórzy w Polsce, zwłaszcza lewicowi czy aspirujący



Nie ma w Polsce klasy ludowej, nie ma żadnego ludu...

do lewicy intelektualiści lubią nazywać klasą ludową. Nie ma w Polsce klasy ludowej, nie ma żadnego ludu – powiem brutalnie. Jest klasa niższa o mentalności drobnomieszczańskiej,

chłopi o takiej samej mentalności, mieszkańcy miast, którzy jakoś tam materialnie trochę awansowali, mają jakieś trwałe oparcie, pewne przeświadczenia społeczne, pewną estetykę.

A sama klasa średnia z rozmaitych względów się zwęża. Przede wszystkim dlatego, że status tych, którzy mogliby być w Polsce klasą średnią, czyli inteligencji i specjalistów, jest cały czas kwestionowany na rozmaite sposoby. Najbardziej drastycznym wyrazem i wymiarem tego podważania, tego kwestionowania są rządy „dobrej zmiany”, przez które przecież bez przerwy atakowani są eksperci, autorytety oraz całe środowiska ludzi cokolwiek umiejących: lekarzy, nauczycieli itd.

Ale to nie koniec. Bo przecież na początku naszej transformacji fatalny błąd popełnił Balcerowicz, który nie ma w sobie wrażliwości społecznej i pewnych rzeczy po prostu nie rozumie. Ja go bardzo szanuję, ale on myślał i myśli tylko w kategoriach ekonomicznych, a to za mało. Przy tym Balcerowicz zmierzał raczej w stronę myślenia pani Robinson i kolegów. Brałbym więc tu pod uwagę czynniki symboliczne, kulturowe, związane z wykształceniem, stylem życia, systemem wartości, bo w zasadzie cała socjologia emocji pozostaje u nas raczej nietknięta przez rozmaitych badaczy ekonomii i życia społecznego.

A gdyby ją tknąć?

To zobaczylibyśmy, że nie zostało dokonane uwłaszczenie specjalistów, inteligencji około roku 1989, 1990 – wtedy, kiedy istniało na to pełne przyzwolenie. W związku z tym zastaliśmy albo uwłaszczenie elit komunistycznych, albo dziką prywatyzację i te wszystkie patologie transformacji, o których dobrze dziś wiemy. Musiała dokonać się pierwotna akumulacja kapitału. Więc ona się dokonywała przez to coś, co się nazywa czasem kapitalizmem politycznym, czyli tym wyrosłym z komunizmu. No i przez tę dziką grabież różnych dóbr. A wreszcie także za sprawą, powiedzmy, zapobiegliwości, skrzętności różnych środowisk. W związku z tym ta polska klasa średnia potencjalnie jest dość wąta w sensie materialnym i chwiejna, pozostaje cały czas narażona na rozmaitą represyjność i wciąż natrafia na trudne do przekroczenia granice materialnego awansu.

Wróćmy do momentu, w którym Pan Profesor powiedział, że w Polsce specjaliści, będący klasą średnią, są atakowani przez rząd PiS. I zohydznani na wszelkie sposoby przez karykaturalny i archaiczny według Pana sposób sprawowania władzy przez Zjednoczoną Prawicę, która jednocześnie na tej klasie średniej pasożytuje, jak mówił Pan Profesor nie tak dawno w wywiadzie przeprowadzonym przez Katarzynę Janowską w Onecie. W jaki właściwie sposób ta klasa średnia jest Pańskim zdaniem zohydzana?

Przede wszystkim wykorzystuje się tutaj mechanizm tzw. zawistnego egalitaryzmu i wszelkiego rodzaju resentymenty. To znaczy, że klasa niższa, ta drobnomieszczańska, popkulturowa także – bo to się strasznie oczywiście miesza dzisiaj, drobnomieszczaństwo ma swój popkulturowy charakter – żywi

w sobie zawistny egalitaryzm. Jak to działa? Tak, że gdy nie ma się talentów, nie ma się umiejętności, można odczuwać sporą satysfakcję z tego, że ktoś dokłada tym, którzy mają wyższy status intelektualny czy związany z profesją. Więc dobrze tak tym dziennikarzom, dobrze tak tym lekarzom, dobrze tak tym prawnikom, a tak! Ja może, malutki, tam na dole nie skorzystam z tego, ale niech oni wreszcie zobaczą. Niech ktoś im pokaże. No i tutaj odzywa się resentyment, czyli pasywny agresywny żal. Na tym mechanizmie niemiłosiernie nam panująca władza pasożytuje i idzie ku swojej potencji, ku swojej mocy.

Może powinniśmy się zatrzymać i skupić na tym, aby ten żal ugasić jakoś i uspokoić? Czy nie tym są transfery socjalne, o które zadbał PiS? Bo jeśli klasa niższa nie ma talentów i w dodatku nie ma...

...nie ma chęci.

A wiemy, że nie ma chęci?

Wiemy, że nie ma chęci. Otóż muszę odwołać się do swojego podstawowego doświadczenia socjologicznego. Przez moje ręce przeszło ponad 30 tysięcy studentów różnych specjalności, z różnych środowisk, z różnych uczelni. Otóż wśród nich są trzy grupy: ci, którzy pracują, uczą się, mają ambicje, to jakieś 30 procent. Druga grupa to tacy, którzy mogliby być kimś, coś mieć, coś umieć, awansować także w tych strukturach uczelnianych, chociażby poprzez stopnie naukowe, ale są zdemoralizowani przez złą szkołę i zły dom – taki, który się o nich nie troszczył. To też jakieś 30 procent. I jest też trzecia grupa, powiedzmy, jakieś 30–40 procent ludzi, którzy nie chcą nic. Chcą tylko papier. Nie ma na nich sposobu. Jest wśród nich cała chmara takich, którzy nie chcą nawet chcieć.

A to nie jest tak, że ci, którzy przychodzą na uczelnie tylko po papier, z ekonomicznego punktu widzenia wywodzą się najczęściej właśnie z klasy średniej? Mają w końcu oparcie w zamożnych, ustawionych rodzicach. I wiedzą, że chcą tylko papier, bo i tak przejmą na przykład firmę po ojcu. To nie jest ta grupa?

Nie, to nie jest ta grupa. To są bardzo różni ludzie. Socjologowie mają tu kłopot, bo te grupy są naprawdę trudne do skategoryzowania. Miałem na przykład taką sytuację – przychodzi trójka studentów zaocznych. Facet 30-letni, pracujący fizycznie, gdzieś tam z Rzeszowskiego. Dziewczyna w skórach, też 30-latką, elegancką, utrzymywana przez jakiegoś zamożnego narzeczonego, wiem to, bo ja z tymi studentami zawsze rozmawiałem. I trzeci, też sensowny, chłopak, gdzieś właśnie z jakiejś urzędniczej rodziny. I cała trójka jest doskonale przygotowana. Odwrotnie też bywa. Nie ma żadnej zależności od statusu rodziców. Owszem, tak zwane tradycyjne rodziny inteligenckie trochę dają, z wielkich miast zwłaszcza. Dają pewną kulturę, pewną ogładę, ale też nie zawsze, niekiedy tylko z wierzchu. Więc socjologowie bywają tu trochę bezradni...

Kiedyś zaprosiłem do swojego zakładu socjologa z głębin mojego instytutu zajmującego się klasą średnią – nie będę wymieniał jego nazwiska – i on cały czas zwracał uwagę tylko na jeden czynnik, czyli na zarobki. Na to mój zespół się nie godził, oczekiwaliśmy wskazania pewnego zespołu wartości, norm, pewnej kultury, bo naszym zdaniem dopiero w ten sposób można by określać przynależność do klasy średniej.

Nie powiedział Pan Profesor, z jakiego domu pochodził student numer jeden – ten spracowany z Rzeszowskiego.

Z rodziny robotniczej.

A no właśnie! Jak tu więc szukać wspólnych wartości, norm, wspólnej kultury, zestawiając ze sobą wychowanie w rodzinie robotniczej, mieszczańskiej i urzędniczej czy inteligenckiej?

Bo tutaj właśnie jeszcze czegoś dotykamy. Mówi się: „klasa ludowa”, co jest kłamstwem. Fakty są jednak takie, że niestety rozpadła się kultura robotnicza. A jak najbardziej istniała w Polsce coś takiego – co wynikało choćby z badań nad czytelnictwem. W latach 60. były takie badania na temat czytelnictwa „Przekroju”, inteligencko-mieszczańskiego, typowego dla klasy średniej tygodnika krakowskiego. I wówczas aż 40 procent robotników czytało „Przekrój”.

Tu mnie Pan Profesor zastrzeż.

Klasa robotnicza miała – sam wywodzę się z tak zwanych dołów społecznych – także swoje robotnicze elity. Różne rzeczy można mówić o komunizmie, z reguły mówi się o nim źle, ale pewne rzeczy były jednak wtedy ważne. Na przykład powszechna świadomość, że awansu społecznego dostępuje się przez wykształcenie. To było bardzo mocne i w związku z tym towarzyszyła temu niezwykła, często dla nas, dzieci i młodzieży z tamtej epoki, bolesna solidarność domu i szkoły. Nie można było napyszczyć – mówiąc nieładnie – na szkołę, na nauczyciela, który był niesprawiedliwy. Oczywiście, jeśli zdarzały się jakieś autentyczne akty niesprawiedliwości, to gdzieś za naszymi plecami rodzice to jakoś ze szkołą załatwiali. Czego by nie mówić o komunizmie, przywiązywano wówczas realną wagę do czegoś, co rządy liberalne po 1989 roku całkowicie zaniedbały. A była to paideia.

Według klasycznych greckich, platońskich i wszelkich innych formuł to edukacja kulturowa, edukacja także w tym sensie węższym, inicjowanie do uczestnictwa w społeczeństwie i jego kulturze. Komunizm do tego, paradoksalnie, przywiązywał sporą wagę. Mieliśmy znakomite teatry, najlepsze na świecie, naprawdę. W 1975 roku wznowiony sezon Teatru Narodów, czyli takiej najważniejszej wtedy międzynarodowej imprezy, odbywał się tutaj, w Warszawie. Z obecnością Bergmana jako reżysera teatralnego, Streilera, wielkich, wielkich naprawdę tuzów. No i Teatr Telewizji. Albo sztuka abstrakcyjna, której nigdzie indziej w bloku wschodnim nie było... i wszelkie formy eksperymentu artystycznego. Gigantyczne

kolejki po książki. Na Krakowskim Przedmieściu modne panienki ukazywały się nie tylko w modnych strojach, ale również taszczyły ze sobą widowiskowo – nie wiem, czy czytały, raczej nie – książki z klasyki literatury iberoamerykańskiej albo z serii Biblioteka Myśli Współczesnej. Sam wiele dni i nocy spędzałem w takich kolejkach.

I peerelowska szkoła była represyjna, czasem ohydnie makarenkowska, nadmiernie opresyjna. Była wymagająca w sprawach, w których nie powinna być wymagająca – ubiorów i takich tam różnych rzeczy. Ale ta szkoła jednak czegoś uczyła.

Chce Pan Profesor powiedzieć, że w czasach komunizmu mieliśmy klasę średnią, i co więcej, ktoś dbał o to, żeby ona się rozwijała, a dzisiaj prawie nie mamy klasy średniej, bo to jest ta wąska talia w klepsydrze, o której rozwój już nikt nie dba?

Tak. Stało się właśnie coś takiego. Owszem, wyszliśmy z wojny z wyróżnioną, wymordowaną inteligencją. Bodajże 20 milionów Polaków i 20 tysięcy osób z wyższym wykształceniem zostało nam po wojnie, do tego 200–300 tysięcy ze średnim przedwojennym wykształceniem. To tyle, co nic. Zwłaszcza w zrujnowanym, zdruzgotanym kraju. Z wymordowanym albo wygnanym mieszczaństwem obcego pochodzenia.

Ale w związku z tym wszystkim komunizm zainwestował przeciwko sobie – w hodowanie nowej klasy inteligenckiej z synów chłopów i drobnych mieszczan. Ona była czasem w PRL wyszydzana, ale generalnie w nią jakoś inwestowano. A na koniec to ona się najbardziej przeciwko komunizmowi zbuntowała – razem z elitami robotniczymi, czyli robotnikami, którzy pracowali w wielkich zakładach, byli specjalistami, mieli często poważne wykształcenie techniczne, czytali gazety, dyskutowali o polityce. Przedstawiciele elit robotniczych i peerelowskiej klasy średniej naprawdę byli świadomi świata, świadomi także tego, jak wygląda Zachód. Bunt solidarnościowy był ukoronowaniem tego typu świadomości.

Peerelowska szkoła w dodatku wychowywała romantycznie. Robotnicy – co zresztą można zobaczyć na zdjęciach czy filmach ze strajków 1980 i 1981 roku – odwoływali się wprost do haseł romantycznych wyniesionych z tych szkolnych Mickiewiczów i innych Słowackich. To był romantyzm zrywu. Świętej pamięci pani profesor Janion mawiała, że to był ostatni zryw romantyczny w dziejach Polski. Było ich ileś. A to wszystko zdechło. Liberalizm zaniedbał całą tę rzeczywistość. Mówi się w sposób wyolbrzymiony o zaniechaniach wobec pracowników PGR-ów itd., ale przede wszystkim zostało zaniechane właśnie to. Szkoła zaczęła być coraz gorsza. Jeszcze w latach 90., na początku lat dwutysięcznych można było mówić o jakimś takim chowaniu umysłowym i moralnym, ale później dostawało się zawsze tych 30–40 procent jegomościów i jejmości, którzy przychodzili na egzamin, nie przeczytawszy nawet ściągawki, za to z żądaniem pozytywnej oceny. Wiem, co mówię, bo takie ściągawki w którychś tam wersjach podręcznika im porobiłem, żeby mieli chociaż to. A kiedyś nie trzeba było tego robić...

Podkreślił Pan Profesor to żądanie pozytywnej oceny... Czy Polacy są roszczeniowi?

Tak, nawet bardzo. Myślę, że to doświadczenie historyczne w nich to wyhodowało. To jest jeszcze głębszy proces kulturowy i jeszcze starszy. My mówimy „Polacy”, a tak naprawdę mieliśmy obok siebie dwa przeciwstawne narody i dwie opowieści: szlachecko-inteligencką i chłopską. Opowieść chłopska była bardzo długo niewysłowiona, za to kumulował się w niej dziki bunt, bo los chłopów w Polsce był dziki, zwierzęcy. Proces wychodzenia z poddaństwa, pańszczyzny, za sprawą obcych, bo to z było z ręki obcych, trwał jeszcze w XX wieku.



**Pochodzimy z tego losu
chłopskiego, z tą dziką nienawiścią
do szlachty, która czasem
wybuchala w sposób krwawy,
strasznie krwawy, jak w rabacji
chłopskiej 1846 roku, do której
nawiażywało po kilkudziesięciu
latach „Wesele”.**

A dziś w zdecydowanej większości jesteśmy chłopskiego pochodzenia, a nie szlacheckiego. Pochodzimy z tego losu chłopskiego, z tą dziką nienawiścią do szlachty, która czasem wybuchala w sposób krwawy, strasznie krwawy, jak w rabacji chłopskiej 1846 roku, do której nawiażywało po kilkudziesięciu latach „Wesele”. Niby tak powszechnie czytane, a tak naprawdę nieczytane – z tym słynnym tekstem „myśmy wszystko zapomnieli / mego dziada piłą rżnili”. Najjaśniejszy pan zawiesił w okresie trwania zapustów dekalog na trzy dni. Można było rżnąć ciarachów, czyli szlachtę, urzędników dworskich, obcych, mężczyzn powyżej 12. roku życia – to bardzo ważne, że nie kobiet. Temu towarzyszyło niszczenie dworów i księgozbiorów, bo tam mogły być zapisane – zdaniem chłopów – powinności wobec dworu. Portretów przodków za to nie niszczone, tylko niesiono pod kościoły i tam opierano. Wyrywano nawet rośliny – jak baby rabowały na tej wsi galicyjskiej dwory, to mężczyźni kazali im odnosić rzeczy, bo wszystko miało zostać zniszczone.

Ale było coś jeszcze – tu dojdziemy do chama – otóż chłopie mieli plan eugeniczny. Wiadomo, że nie gwałcili kobiet w czasie tej rabacji, za to bez litości mordowali mężczyzn – za co dostawali w Tarnowie od starosty austriackiego dwa talary za każdą głowę zamordowanego. Dlaczego nie robili krzywdy kobietom? Otóż w chacie Szeli były dwie córki

szlacheckie, które Szela chciał wydać za swoich synów, ale zatrudnił je jako swoje sekretarki. W tej chacie układał nowy plan: rżniemy ciarachów, żenimy się z wdowami po nich i ich córkami – i w ten sposób stworzymy całkiem nową rasę.

Chłopi i szlachta to naprawdę nie był ten sam naród. Od czasu do czasu to eksploduje w rozmaitych nienawiściach. I teraz, z racji panowania, także w okresie komunizmu, opowieści szlachecko-inteligenckiej, los nas czasem wypycha w tę opowieść. W szkole, w książkach, w kulturze nadal dominuje opowieść szlachecka – czy też dominowała przynajmniej do czasów „dobrej zmiany”. Teraz ta historia chłopska, niewysłowiona, okrutna, pełna nienawiści, za to tworzona przez kilkadziesiąt lat, może zostać wysłowiona. Może się zmanifestować – i jest za te manifestacje nagradzana. A nie jest tak, że historia to jest to, co było. Historia to jest to, co jest w nas.

Przenieśmy się jednak do perspektywy przyszłości. Co pomogłoby nam zbudować klasę średnią, silniejszą, może większą? Czy w ogóle powinniśmy mieć liczniejszą i silniejszą klasę średnią?

Powinniśmy, moim zdaniem. Ona wszędzie jest warunkiem awansu całych społeczeństw, z racji swoich kompetencji, swojego dynamizmu i swojego racjonalizmu. Problem jest taki, że niestety hodowana jest w Polsce wiedza lokalna, jak ją nazywa Clifford Geertz. Wiedza lokalna, czyli jaka? Ano „tutejsza”. Taka, która zakłada, że to jest prawdziwe, co jest prawdą mojego życia. I że ta prawda odsłania się nam naturalnie, bezkrytycznie, a przy tym jest podzielana przez wszystkich wokół. Rzeczywiście przez wszystkich wokół, ale tylko w granicach tutejszości. Nawet niektórzy ludzie związani z obecną ekipą, jak profesor Horban, otwarcie mówią, że są całe chmary ludzi, którzy ani się nie szczepią, ani nawet telewizji nie oglądają. Nie biorą udziału w tym, co jest podstawową formą uczestnictwa w kulturze w Polsce.

A czy dzisiaj jakimś elementem statusu przynależności do klasy średniej i wyższej nie jest przypadkiem nieoglądanie telewizji?

Ja wiem, że moi doktoranci, moi doktorzy wręcz manifestacyjnie nie oglądają telewizji. Ale chodzi o to, że według badań prof. Tomasza Szlendaka i jego zespołu podstawową formą uczestnictwa w kulturze w Polsce jest oglądanie telewizji: 61 procent ogląda telewizję w Polsce. Szlendak badał to naprawdę szeroko – brał pod uwagę również takie zjawiska, jak na przykład chodzenie do galerii handlowych. Chodzi więc o to, że są w Polsce ludzie, którzy ani nie czytają książek, ani nie zaglądają do internetu czy gazet, a w dodatku nawet nie oglądają telewizji. I żyją życiem – powiedziałbym – biologicznym. W przestrzeni tutejszej, jak ci chłopi pańszczyźniani w okręgu o średnicy 14 kilometrów.

Pierwsze wolne wybory w Polsce – bierze w nich udział 43 procent zaledwie. 60 procent ludzi w Polsce nie czyta żadnych książek. Kto by nie rządził, to ponad połowa tego

społeczeństwa uważa, że sprawy w Polsce „idą w złym kierunku” – zawsze. Niezależnie od tego, czy rządzi lewica, czy prawica, centrum, liberałowie czy konserwatyści. Chmara – czyli od 40 do 60 procent ludzi w Polsce – nie bierze udziału w niczym. Mówi się czasem, że są w Polsce zwolennicy PiS-u, zwolennicy opozycji i zwolennicy grilli. Tych ostatnich jest najwięcej.

Może trzeba tych ludzi jakoś wciągnąć do wspólnego życia?

To jest proces.

Oczywiście. Ta telewizja jest fantastycznym przykładem. Żeby oglądać telewizję, to po pierwsze trzeba mieć telewizor. OK, pewnie już większość w Polsce ma, jakkolwiek, nie musi to być plazma. Ale podstawowe kanały oferują, tu się Pan Profesor pewnie ze mną zgodzi, ryzykując na jednak dość niskim poziomie. Czyli znowu trochę wciągamy już ludzi w jakieś poczucie przynależności do szerszej grupy i w krąg spraw publicznych, tak to nazwijmy. Ale ciągle jednak na dość niskim poziomie. Biorąc pod uwagę to, co się dziś dzieje w mediach, to ktoś taki zostanie z dziecinną łatwością wciągnięty w narrację jednej albo drugiej strony i przyjmie ją bezkrytycznie bez większych zysków dla dobra wspólnego. Może więc powinniśmy zadbać, żeby ten ktoś miał trochę więcej pieniędzy, żeby kupić jakiś szerszy pakiet telewizyjny, czasem obejrzeć „National Geographic” albo jakiś program bardziej budujący jego świadomość świata, albo jakieś kompetencje społeczno-kulturowe? Zmierzam do tego, że może to 500 plus, rozdane ludziom może ich jednak wciągnąć do tego życia społecznego, poza którym obecnie funkcjonują?

Ja nie przywiązywałbym aż takiej wagi do 500 plus jako magicznego środka awansu. Oczywiście, wszystko w sprawie tego 500 plus zależy od tego, co było przedtem, to znaczy jaka rodzina je dostała – i czy ta rodzina będzie inwestowała w tatuaże dla pani domu. Ktoś mi opowiadał, że pojawienie się 500 plus zaowocowało niezwykłą proliferacją salonów tatuażu. Ja rozumiem potrzebę estetyczną, ale niekoniecznie o to chodziło w tym wszystkim. Jasne, że niektórzy zainwestują w swoje dziecko, wezmą je na wakacje czy pójdą z nim do kina. Natomiast inni zainwestują właśnie w coś takiego jak tatuaże. Wydadzą na dość dużą konsumpcję, na kupowanie jakiegoś badziewia, także w sensie kulturowym.

To samo dotyczy wyborów, o których Pani mówi. Wszystko jest wynikiem tego procesu po 1989 roku. Komercjalizacja kultury miała ten właśnie wymiar, że ta kultura masowa stawiała się coraz bardziej tandetna. Ja patrzyłem na to z wypiekami na twarzy oczywiście, trochę po faryzejsku. „Big Brother” był momentem przełomowym – bo pokazał człowieka, nie wiem jak go dobrze nazwać, człowieka, który był „tutejszy”. Człowieka, który nie miał już żadnych ambicji, tylko żył życiem związanym z własnym ciałem, odżywianiem się, kłótniami domowymi, tym wszystkim, co się tam działo.

Jak powinniśmy tym zarządzać? Jak państwo powinno zarządzać? Autorytarnie powiedzieć: żadnej więcej edycji „Big Brothera”?

Państwo za jedną rzecz odpowiada: za system edukacyjny. A zafundowało nam więcej uczelni, niż mają Stany Zjednoczone. Umówmy się, nie są to oksfordy. Nawet te najważniejsze polskie uczelnie na liście szanghajskiej są w ostatniej setce. To o czymś mówi: dużo, a źle. To jest taka marksistowska wiara w przejście dowolnej ilości w dowolną jakość – ale to przecież nijak nie działa.

Myślę, że w czasie tej rozmowy trochę nakreśliśmy, co nie działa – i co nam poszło nie tak, także z perspektywy historycznej. Ale ja cały czas zastanawiam się, co w takim razie zrobić dzisiaj? Pozamykać połowę uniwersytetów?

Tak. Liberalna Szwecja ma kilka kategorii uczelni. Owszem, może tam istnieć coś, co będąc uczelnią, jest w gruncie rzeczy dzielnicową szkołą w dzielnicy multi-kulti. Ale jest też Uniwersytet w Uppsali, ten porównywalny co do znaczenia, statusu w historii z Uniwersytetem Jagiellońskim czy Warszawskim. Proszę zwrócić uwagę, że podstawowym problemem w Polsce jest zamazanie hierarchii i systemu wartości. Nie ma autorytetów, nie ma hierarchii opartych chociażby na kompetencjach, wykształceniu,

sprawności. Są hierarchie budowane zgodnie z regułą założycielską 1989 roku – na takiej zasadzie „łokciowej”. I jest na to przyzwolenie.

Ja jestem, jak całe moje pokolenie, dzieckiem 1968 roku, kiedy nagle nastąpił kulturowy bunt przeciwko wartościom „starych”, przeciwko ich stylowi życia i autorytarnej kulturze. Ale ten bunt poszedł za daleko. Poszedł w kierunku – to nie dotyczy tylko Polski, to jest powszechne – pewnego permissywności, kultury przyzwolenia. Rzecz polega na tym, że nie ma tak, że edukacja ma być bezbolesna, nie ma tak, że zdobycie pieniędzy w przedsiębiorstwie dokonuje się bezboleśnie i bez wysiłku. Tymczasem cała kultura wokół tłumaczy nam, że tego nie trzeba robić, że staje się samo, że szkoła ma być przyjazna, obłaskawiająca itd. Niestety – i tutaj wracam do tego, co powiedziała pani profesor Jacyno o klasie średniej – trzeba czytać XVIII – i XIX-wieczną literaturę angielską czy Karola Marksa, żeby wiedzieć, że to wszystko się zbudowało w pocie, krwi i łzach, a nie poprzez jakieś inne mechanizmy. Cóż ja, stary człowiek stojący nad popielnikiem, mogę doradzać? Trzeba nam więcej krwi, potu i łez, inaczej zmarnujemy to, co udało się nam uzyskać. Bo mimo wszystko tutaj wracamy do klasy średniej, to właśnie ona, gorsza czy lepsza, wypracowała to, co mamy. A to wszystko w tej chwili jest trwonione przez ten ludźmi boży ożywiony resentymentem. ■

Rozmawiała:
Agata Kołodziej





Andrzej Rychard

Po co wyobrażamy sobie klasę średnią?
By poczuć się bezpieczniej?



Estera Flieger: Dlaczego PiS rządzi?

Andrzej Rychard: Ponieważ dał istotnej części Polaków poczucie bezpieczeństwa. W głównej mierze ma ono wymiar socjalny, ekonomiczny. Dlatego, pomimo różnego rodzaju afer i napięć wewnątrz systemu władzy, PiS wciąż rządzi. Ale istnieją czynniki – w obszarze zmian zachodzących w polskim społeczeństwie, które uznają za oznaki jego erozji.

CBOS regularnie pyta Polki i Polaków, czy ich gospodarstwa domowe posiadają oszczędności. W 2007 roku 77 procent respondentów odpowiedziało, że nie, podczas gdy odpowiedzi twierdzącej udzieliło 23 procent badanych. Po raz pierwszy proporcje odwróciły się w 2019 roku: większość zapytanych Polek i Polaków zadeklarowało wówczas, że dysponuje oszczędnościami. Tendencja ta utrzymała się

w 2020 i 2021 roku. Może więc władzę umacnia myślenie – o ile takie występuje i tego dotyczy moje pytanie – że choć jest inflacja, a do tego rosną ceny prądu i gazu, to powrót „tamtych” do władzy jedynie pogorszy sytuację, na dodatek „coś zabiorą”?

Ten sposób myślenia coraz bardziej staje się prehistoryczny. Rosnąca część elektoratu nie ma osobistego doświadczenia czasów „tamtych”. Owszem, ma je większość wyborców, a więc osoby w wieku średnim i starszym. Ale dla młodszych to nie jest wystarczające wyjaśnienie. Ponadto zjawiska takie jak inflacja i drożyzna nie przekładają się natychmiast na sondaże. Moim zdaniem, w dłuższej perspektywie razem z problemami z energią znajdą odbicie w poziomie poparcia dla PiS.

Poza tym bezpieczeństwo w obszarze socjalnym – jako pewna opowieść – w dużym stopniu się wyczerpuje. Mit wyjaśniający





przyczyny trwałości władzy PiS, a więc program „Rodzina 500 plus” jest istotny, ale nie wieczny, co widać w badaniach IBRiS. Bo „500 plus” stało się czymś naturalnym. Ludzie natomiast dostrzegają, że PiS wprowadził pewien rodzaj antyliberalnego indywidualizmu – choć może to wydawać się sprzecznością samą w sobie. Opisałbym to zjawisko w następujący sposób: „Proszę, otrzymujesz 500 złotych, a teraz poradź sobie sam”. Towarzyszy temu coraz częściej przekonanie, że to nie rozwiąże problemów, u podstaw których leży dostępność usług publicznych w obszarze zdrowia, edukacji. A wystraszając: za 500 złotych nie da się kupić endoprotezy.

Dlaczego jednak opowieść o „500 plus” była tak skuteczna?

Poprzedni obóz rządzący, którego wiodącą siłą była Platforma Obywatelska, starał się oddzielić politykę i pewien sukces

transformacyjny od życia codziennego. Umieszczał na billboardach hasła takie jak „Nie róbmy polityki, budujemy szpitale”. Sytuacja nie była zła, ale w 2015 roku to PiS wygrał wybory. Dlaczego? Między innymi dlatego, że ludzie nie widzieli związku między polepszającą się sytuacją ekonomiczną a politycznymi działaniami rządu. Myśleli, że zawdzięczają to wyłącznie sobie. Jarosław Kaczyński, obiecując wsparcie każdemu w postaci programu „500 plus”, natychmiast odbudował związek pomiędzy życiem codziennym Polek i Polaków a decyzjami politycznymi.

Z badań jakościowych IBRiS wynika, że pandemia i tarce antykryzysowe uświadomiły Polkom i Polakom, że pomoc państwa może im być potrzebna. Zwróciłam również uwagę na to, co powiedział prof. Przemysław Sadura, udzielając wywiadu „Krytyce Politycznej”. Kiedy

Jakub Majmurek zapytał, czy usługi publiczne mogą być czymś na tyle atrakcyjnym dla wyborców, by zrezygnowali dla nich z poparcia dla partii gwarantującej bezpośrednie transfery, odpowiedział: „Barierą jest brak zaufania do państwa i instytucji publicznych. Ci ludzie skorzystaliby z usług publicznych, pytanie jednak, czy potrafią zaryzykować i zaufać, że państwo tu sobie poradzi. Do tej pory państwo polskie zawodziło, nie dostarczało usług na odpowiednim poziomie. PiS dał ludziom wróbla transferów, którego trzymają w garści. Usługi publiczne to wciąż gołąb na dachu. Trzeba by dać ludziom gołębia na tacy. To jest wielkie wyzwanie i zadania lewicy”. Zostawiając lewicę, a odnosząc się do poziomu ogólnego: podziela Pan tę opinię?



Trzeba znaleźć więc język, który pokaże, że na zainicjowanej przez państwo reformie usług publicznych Polak może wygrać.

W pełni zgadzam się z prof. Przemysławem Sadurą: to kwestia sprowadzenia gołębia z dachu na tacę. Z jednej strony, rzeczywiście jest to problem zaufania, a z drugiej – języka: „500 plus” przemawia do Polaka, reformę trudno zaś sprzedać w atrakcyjny sposób. Trzeba znaleźć więc język, który pokaże, że na zainicjowanej przez państwo reformie usług publicznych Polak może wygrać. Wybierze wówczas redukcję niepewności na rynku usług publicznych. Moim zdaniem, przyszłe wybory będą wygrywać ci, którzy będą umieli w atrakcyjny sposób nazwać usługi publiczne.

Dlaczego Polki i Polacy nie ufają państwu?

Państwo i obywatel byli dla siebie obcy. Za nami bardzo krótki trening propaństwowy. Ponadto bardzo wiele spraw w Polsce można było załatwić, raczej obchodząc, a nawet stawiając się w opozycji do państwa, niż stosując się do jego zasad. Trzeba czasu, żeby to zmienić. Ale obserwujemy sytuację, która nie sprzyja poprawie poziomu zaufania do państwa, a więc podważanie wiary w praworządność i konstytucyjność działań obozu rządzącego. Oprócz tego brak zaufania do państwa można obecnie wyjaśnić również tym, że nie radzi sobie z ruchem antyszczepionkowym i obawia się wprowadzić restrykcje dla niezaszczepionych.

IBRiS zapytał Polki i Polaków, do której zaliczają się klasy: z wyższą identyfikuje się 5,2 procent badanych, z średnią 72,3, a niższą 16,3. Jak definiuje pan klasę średnią?

Definicje klasy średniej – czy też koncepcje tego, czym jest – ewoluowały. Dawniej uważano, że jej przedstawicielami są

głównie średni przedsiębiorcy. Poszerzono ją następnie o osoby z wyższym wykształceniem i określonym stylem życia, a więc wykonujące prace umysłowe. Ale przyjmując nawet tak szeroką definicję, uznanie, że do klasy średniej należy 72 procent społeczeństwa, jest na wyrost. Jednak należy brać pod uwagę świadomość społeczną, bo świat społeczny jest w dużym stopniu taki, jakim widzą go ludzie. Jeżeli więc tak duża grupa uważa, że należy do klasy średniej, to powinni-



Ulokowanie się w klasie średniej zwiększa poczucie bezpieczeństwa.

śmy to przyjąć i zastanowić się dlaczego. Jedną z przyczyn o charakterze obiektywnym, widoczną zresztą w badaniach, jest to, że polepszyła się sytuacja ekonomiczna Polaków. Są też inne, równie ważne, a więc świadomościowe. Ulokowanie się w klasie średniej zwiększa poczucie bezpieczeństwa. Inaczej: ludzie lubią być w centrum. Od wielu lat obserwujemy rosnącą tendencję do identyfikowania się z klasą średnią, bo zmniejsza to niepewność położenia społecznego. I jeszcze jedna rzecz: klasa średnia stała się swego rodzaju mitem założycielskim gospodarki rynkowej, a wręcz całej transformacji.

„Dzisiaj Polska jest krajem klasy średniej, gdzie zaspokojenie oczekiwań i aspiracji tej grupy będzie decydować o sukcesie wyborczym” – uważa Marcin Duma, szef IBRiS. Podziela Pan tę diagnozę? I czy tego rodzaju potrzeby zaspokaja Polski Ład?

Kiedy pytamy Polaków, z jaką grupą się identyfikują, otrzymujemy inny obraz, niż przyjmując kryteria obiektywne, bo na ich podstawie nie mogę stwierdzić, że Polska jest krajem klasy średniej. Ale nie jest też już krajem klasy robotniczej, choć nadal jest ona bardzo liczna, o czym często zapominamy, bo uważamy, że jest klasa średnia i nic poza tym.

A gdzie należy umiejscowić budżetówkę? Z lektury książki Marka Szymaniaka „Zapaść. Reportaże z mniejszych miast”, szczególnie zapamiętałam słowa urzędniczki z Tomaszowa Lubelskiego: zarabia 1900 złotych miesięcznie, nie ma żadnych szans na zakup mieszkania.

Budżetówka – zakładam – będzie identyfikować się z klasą średnią. Ma prawo czuć się sfrustrowana. To, że ma taką sytuację finansową, deprecjonuje ją we własnych oczach, ale także państwo, bo pokazuje jego słabość. Obserwowaliśmy protesty budżetówki. Zwróćmy przy tym uwagę na to, że protest również jest zjawiskiem ewoluującym. Bo jego przyczyną nie jest już tylko sytuacja materialna, ale także dostęp do usług publicznych w obszarze edukacji i zdrowia oraz informacji. Polska nie jest więc już krajem wielkich protestów

robotniczych wyrażających sprzeciw wobec podwyżek cen. Wymiar ekonomiczny wciąż jest ważny. Ale protestować uczą się nowe grupy. Pielęgniarki budujące pierwsze białe miasteczko to pewien symbol. Tego rodzajów protestów będzie więcej i stają się one coraz ważniejsze. A władza będzie musiała nauczyć się brać je pod uwagę.

Wróćmy do Polskiego Ładu.

Miał problem nie tyle z poczuciem, co z przyjściem na świat: zabrakło dobrej opowieści. Dominująca okazała się ta, utożsamiająca go z podwyższeniem podatków, co jest zabójcze dla aspiracji rodzącej się klasy średniej – nie tylko tej istniejącej wedle kryteriów obiektywnych, ale również chcącej nią być. Bezskuteczne okazały się próby tłumaczenia, że większości zmiany nie obejmą. Ponadto Polski Ład nie ma „tego czegoś”,

czym okazał się program „500 plus”. Ma pozytywne elementy, ale są rozproszone.

To, co utrzymuje PiS przy władzy, a więc poczucie bezpieczeństwa, jednocześnie może mu ją odebrać, okazując się pułapką?

To może być pułapką. Kiedy rosną aspiracje i towarzyszy temu wzrost poziomu ich zaspokajania, następuje stabilizacja. Ale rewolucje wybuchają zwykle wtedy – czego uczy nas socjologia – kiedy po pewnym okresie wzrostu poziomu zaspokojenia aspiracji następuje załamanie w wyniku na przykład drożyzny, inflacji. Aspiracje wówczas nadal rosną, ale poziom ich zaspokojenia jest niższy. I mimo że nadal jest wyższy niż wcześniej, to dystans między aspiracjami a poziomem ich zaspokojenia rośnie. A to czynnik, który może powodować protesty i zmiany. ■

Rozmawiała:

Estera Flieger







IBRiS w pigułce

każdego roku:

1/2 miliona+

przeprowadzonych
wywiadów w badaniach
ilościowych

200+

przeprowadzonych
badań jakościowych

50 000+

przeprowadzonych
wywiadów z firmami



badania ilościowe (CATI, CAWI, CAPI, PAPI)



badania jakościowe (IDI, FGI, DIADY, TRIADY, MIX MODE)



badania reputacyjne (Reputation Research)



badania wizerunku pracodawcy (Employer Branding)



badania wizerunkowe marek firm (Brand Image/Health Measurement)



badania satysfakcji i lojalności klientów (Voice of Customer, CX)



badania komunikacyjne (Creative Idea/ Positioning/Execution Tests)



+ badania szyte na miarę potrzeb i oczekiwań klienta



2

**IBRiS to druga najsilniejsza marka
wśród agencji badawczych w Polsce!**



 **ibris**